

Rok V.
Kraków, dnia 4 czerwca 1911 r.
Nr. 23.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

O Duchu Święty!

Żegna gromadka uczniów swego Pana
Z głębokim żalem i smutkiem w swem sercu —
Chwała, cześć Jezu! Hosanna! Hosanna!
Wstąpił już w niebo na chmurnym kobiercu...

Krzyż Jego świeci w cudnej aureoli,
Bo krzyż — to nasza żmudna droga życia,
Krzyż ten — to wszystko, co dolega, boli, —
Lecz gdy z poddaniem bierzem go w objęcia!...

I aby mężnie znosić wszelkie ciosy,
I jako rycerz Chrystusa iść śmiele,
I być odpornym na burz znojne losy, —
Złożył nam Chrystus łask skarby w Kościele.

Więc zesłał Ducha świętego z Syonu,
Aby pocieszał lud Swój prawowierny,
Wzmacniał, oświecał aż do chwili zgonu,
Bo w miłosierdziu jest nasz Pan niezmierny!

Zadrżała ziemia ze szmerem i szumem. —
Apostołowie modlą się gorliwie;
Zgiełk wielki powstał między nizkim tłumem:
Spieszą, słuchają, patrzą pobłażliwie...

I cóż tam słyszą? — przeróżne języki,
W nich prostaczkowie głoszą chwałę Boga —
Nad każdym z uczniów świetlane płomyki —
I wielka widzów ogarnęła trwoga...

Wtedy Piotr święty wystąpił z orężem —
Lecz takim tylko, co dusze rozpala...
Bo On, namiestnik, bo On świętym mężem, —
I żadna ziemska żądza Go nie kala...

Wszyscy są świętym Duchem napełnieni,
Który w postaci języków w Nich wstąpił —
Na różne walki w świetle umocnieni —
O tem z nich żaden Apostoł nie wątpił...

O Duchu święty! rozpal nasze serce
W imię idei wielkiej Chrystusowej,
Byśmy wzmocnieni w tej naszej rozterce,
Doczekać mogli w Polsce ery nowej!!

Adam Jesionek.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

—x—

3. Znowu Jeruzalem.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy Gesiusz na baszcie Antonii opowiadał trybunowi straszne swe odkrycie, człowiek jakiś wspinał się po wschodnim stoku góry Oliwnej.

Podróżnikiem tym był nie kto inny, jak Ben-Hur, a miasto, którego widok napawał go taką rozkoszą — Jerozolima.

Spojrzenie Ben-Hura zbiegało wyżej i wyżej, aż ponad dachy świątyni, ku górze Syonu, uświęconej przepowiedniami o przyszłym królu. Młodzieniec gonił wzrokiem owe gmachy, co się rozpostarły u królewskiego wzgórza — dom Kaifasza, Środkowa Synagoga. A gdy wśród nich dojrzał pałac Heroda, w sercu jego obudziła się tęsknota do tego króla, co nadchodził, a przed którym on, Ben-Hur, miał prostować ścieżki i tymczasowe jego ubóstwo zasilać bogactwami swemi.

I myśl jego wybiegała na spotkanie dnia, w którym *On* przyjdzie. Widział miliony dzieci Izraela, jak ze sztandarami szły, śpiewając chwałę Pana, który zwyciężył dla nich wszystkie narody i dał im panowanie.

Nad światem zapanował mrok, lecz nie zdołał on zasłonić przed oczyma Judy ciemnego punktu na niebie, tam na prawo od świątyni. Stał tam niegdyś dom jego ojców — czy stoi jeszcze dzisiaj, czy jest już tylko kupą gruzów? I zatrzymywała się na nim z miłością myśl Ben-Hura, w chwili tej niezdolna objąć innych celów, prócz świętego obowiązku, który przywodził go tutaj.

W głębi pustyni, gdzie, złączywszy się z szeikiem Ilderimem, zaznajamiał się z krajem i wybierał miejsce obronne — tam, pewnego wieczoru, stanął przed Ben-Hurem wysłaniec Simonidesa i przyniósł mu wieść, że Valerius Gratus został usunięty, a na urząd jego naznaczony Pontus Piłat.

Wszelkie powody do obawy znikły, jako mara senna. Nie byłaż więc teraz najwłaściwsza pora dla prowadzenia poszukiwań? Jeśli sam nie mógł zapuścić oka w głębie więzień Judei, mógł przeszukać je oczyma innych. A gdyby zaginione niewiasty znalazły się, Piłat nie miał żadnych powodów do trzymania ich nadal w tych murach — żadnych przynajmniej, którychby się nie dało usunąć... pieniądzmi!

Wydobywszy z ciemnicy matkę i siostrę — tak marzył Judah — umieści je w miejscu bezpiecznem i ze spokojną myślą i sumieniem odda się sprawie Króla, który nadchodził.

Dość mu było jednej chwili, aby powziąść takie postanowienie. Tejże nocy miał długą naradę z Ilderimem. Nazajutrz trzech Arabów przeprowadziło go do Jerycho; tu odprawił ich wraz z końmi, a w dalszą drogę puścił się sam i pieszo. W Jerozolimie miał spotkać się z Malluchem.

Od Simonidesa wiedział, iż żyje dotąd Amrah, Egipcyanka. Czytelnik pamięta zapewne, że owego dnia, gdy nieszczęście spadło na dom Hurów, wyrwała się ona z rąk straży i uciekła napowrót do pałacu. Zapieczętowano ją w nim. Miała umrzeć z głodu. Lecz Simonides, przez ręce wiernych sług, dostarczał jej pożywienia i napoju. Była też dotąd jedyną mieszkanką pałacu, którego Gratus, pomimo wszelkich usiłowań, nie mógł sprzedać.

Dzieje prawowitych jego właścicieli odstraszały nabywców. Szeptano sobie przytem rzeczy dziwne. Krążyły pogłoski, że pałac zamieszkały jest przez duchy. Prawdopodobnie Amrah, ukazując się czasem to na tarasach dachu, to znów w zakratowanych oknach, dawała powód i wątek do tych baśni. Istotnie murów tych nie zamieszkiwała nigdy dusza nad nią wierniejsza.

Judah za jakąbądź cenę postanowił zobaczyć się z Egipcyanką. Przedewszystkiem więc pójdzie do pałacu swych ojców.

4. Ben-Hur przed domem ojców.

Ciemno już było, gdy rozstawszy się z pasterzem u bramy Rybiej, Ben-Hur skręcił w ciasną uliczkę, wiodącą na południe. Po obu jej stronach domy były niskie, ciemne i posępne. Idąc tą ulicą, znalazł się wkrótce nad sadzawką Bethesda. Podniósłszy oczy, ujrzał Judah mury baszty Antonii, ciemne, potężne, urągające swym ogromem i siłą.

Jeśli tam matka jego i siostra zagrzebane są żywcem — cóż zdoła dla nich uczynić? Zbrojną nawet ręką — nic.

Cały legion mógł otaczać tę skałę — tarcze i piki odbiłyby się od jej kamiennych murów.

Więc do walki otwartej sił nie stanie...

Od stóp baszty Ben-Hur skierował kroki swe na zachód. Słyszał, że w nowej dzielnicy Bezetha jest khan i w nim miał zamiar zamieszkać przez czas pobytu swego w Mieście Świętem. Wpierw jednak musi zobaczyć dom rodzinny. Szedł dalej, aż stanął... Nareszcie!... Ach! tak!... to dom jego ojców.

Rzymska pieczęć na zamku była nietknęła.

Od dnia wrzekomego zamachu nikt nie przestąpił progu tego domu. Czy miał zapukać, jak to czynił niegdyś? Wiedział, że będzie to daremnem, lecz nie mógł się oprzeć pokusie. A nuż stara Amrah posłyszy i wyjrzy z którego okna?

Wstąpił po schodach i uderzył trzy razy we drzwi. Po pustych murach zadudniało tylko echo.

Próbował znowu — silniej niż przedtem — i raz jeszcze i jeszcze, nasłuchując za każdym razem. Nic i nic. Począł zaglądać do okien. Nigdzie znaku życia. Cofnął się parę kroków w głąb ulicy. Spojrzał do góry. Na dachu również nie było nikogo. Obszedł pałac dokoła. Na bramie południowej była również cesarska pieczęć, a na drzwiach taka sama deszczułka z podobnym napisem.

Ben-Hur przy blasku jego począł go odczytywać i wielki gniew uderzył mu do głowy.

Powoli uspakajał się, zmęczenie brało górę nad jego siłami i — zasnął.

Właśnie od strony baszty Antonii zbliżały się dwie kobiety. Rzekłbyś, że się skradają, tak postępowały nieśmiało, zatrzymując się co parę kroków i łowiąc uchem najlżejszy szelest.

— Czy poznajesz, Tirzo? — rzekła szeptem matka, gdy stanęły przed pałacem Hurów.

Zamiast odpowiedzi dało się słyszeć łkanie.

— Chodźmy stąd, moje dziecię — mówiła wdowa Hura, a głos jej drżał wielkiem wzruszeniem — chodźmy, bo nam już nie wolno przebywać wśród żyjących. Nie czekajmy, aż nas wypędzą za bramy miasta.

— O tak! — mówiła wśród łkań Tirzah — zapomniałam o tem!... Zdało mi się przez chwilę, że wracam do domu. Ale dla trędowatych niema domu nigdzie pod słońcem. Oni należą do zmarłych. W rozpaczy osunęła się na kamienie.

— Nie mamy się czego obawiać... Chodźmy, chodźmy już — nalegała matka.

Oczy izraelskiej niewiasty padły na słowa obwieszczenia. Jakto? więc dom ten nie był już ich

własnością? Załamała ręce. Tirzach rzuciła się jej na szyję.

— Umrzeć, matko, och! umrzeć!

— Nie! — odparła wdowa Hura. — Nie dziecię, Pan naznaczył kres dni naszych. Zbliżać go nie wolno. Chodźmy stąd.

Podniosła córkę i idąc wciąż koło muru, okrążyły pałac.

— Cicho! — szepnęła starsza, dostrzegłszy Ben-Hura, ktoś leży tam na progu. Jakiś mężczyzna... Nie trzeba, żeby nas spostrzegł.

Judah miał sen niespokojny. W chwili tej właśnie poruszył się, westchnął, i chcąc ułożyć wygodniej głowę, zwrócił ją twarzą na wznak. Księżyc padał prosto na nią.

Matka drgnęła i zapominając o obawie, podbiegła do leżącego mężczyzny, pochyliła się nad nim. Z piersi jej wyrwał się okrzyk dzikiej niemal radości:

— Niech będzie błogosławione imię Pańskie! — zawołała, wznosząc ręce do nieba. — Wszak to mój syn, to twój brat, Tirzo!

Tirzah upadła na kolana i chciała ucałować wyciągniętą rękę brata, lecz matka odepchnęła ją gwałtownie.

— Nie dotykaj go! Nieczysta! nieczysta!

Dziewczę odsunęło się jeszcze dalej, jak gdyby to on był trędowatym. Pięknym był, lecz stokroć piękniejszym niż w rzeczywistości, wydawał się oczom matki! Jakże gorąco pragnęła zarzucić mu ręce na szyję, złożyć tę ukochaną głowę na swem łonie, jak to czyniła, gdy był dzieckiem. Za żadne z utraconych skarbów: ani za zdrowie, ani za bogactwa, ani za szczęście życia, ani nawet za życie samo, matka Judy nie złożyłaby swego zabójczego pocałunku na jego czole. Ucałować go jednak musi w chwili tej rozstania się na wieki! Przypadła do ziemi i czołgając się do nóg jego, przyłożyła usta do podeszwy jego sandała, pokrytego pyłem przydrożnym, cała dusza jej przeszła w ten pocałunek.

Poruszył się znowu i odrzucił rękę. Cofnęły się obie, lecz doleciał do ich uszu szept jego senny:

— Matko! Amrah! gdzie jest...

Biedna matka tarzała się w prochu, tłumiąc łkania, co chciały rozerwać jej piersi.

Opanowując swe uczucia, powstała z ziemi i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na twarz ukochaną, aby wrazić ją sobie na zawsze w pamięć, ujęła Tirzę za rękę i wraz z nią oddaliła się na drugi koniec ulicy.

Siedziały tam czas pewien, gdy kobieta ja, kaś wysunęła się z za węgła pałacu.

Ujrzawszy leżącego na progu mężczyznę, kobieta owa zatrzymała się zdziwiona, lecz widząc, że leżący nie rusza się, obeszła go po cichu, nacisnęła drewnianą klamkę — listewka z napisem odskoczyła bez szelestu i drzwi w lewej połowie bramy stanęły otworem. Wsunęła w nie kosz i miała wejść sama, gdy, przez ciekawość zapewne, spojrzała raz jeszcze na śpiącego. Do uszu kobiet, siedzących po tamtej stronie ulicy doleciał cichy okrzyk. I widziały potem, jak staruszka, przypadłszy przed nim na kolana, poczęła gorącymi pocałunkami okrywać jego ręce.

Ben-Hur, rozbudzony tem nagle, otworzył oczy.

— Amrah! Amrah! Tyżeś to? — zawołał zrywając się na nogi.

Przywiązana sługa z okrzykiem radości rzuciła mu się na szyję.

Łagodnie wyzwolił się z jej objęcia i podnosząc do góry twarz jej zalaną łzami, ucałował ją serdecznie, z radością, niemniejszą od jej radości.

— Gdzie matka? Tirzah? Droga Amro! powiedz mi co o nich! Mów, mów, błagam cię!

Amrah, zamiast odpowiedzi, zalewała się łzami,

— Widziałaś je? Wiesz gdzie są? Zapewne tutaj, w tym domu, nieprawdaż? Mów!

Tirzah podniosła się wpół, lecz matka, odgadując jej zamiar, uchwyciła ją za rękę.

— Ani kroku! — szepnęła rozkazująco. — Nieczysta! nieczysta!

Amrah zanosiła się od płaczu. Zniknęli we drzwiach. Nieszczęśliwa matka i siostra pozostały po tamtej stronie ulicy, przed zamkniętemi wrotami, co nigdy już przed niemi otworzyć się nie miały.

Nazajutrz znaleziono obie kobiety na tem samem miejscu i wypędzono z miasta kamieniami.

— Precz! nie należycie do żyjących! Idźcie pomiędzy groby! — wołano za niemi.

I poszły w świat z tem przekleństwem.

5. Grobowiec u wzgórza Złej Rady.

Nazajutrz po dniu, opisanym w poprzedzającym rozdziale, widzimy Amrę przy studni En-rogel. Ręce splótłszy na kolanach, przysiadła i w zamyśleniu spogląda na przeciwległe wzgórze. Obok niej stoi konewka do wody i kosz, przykryty śnieżnej białości chustą. O tej wczesnej godzinie nikogo jeszcze, oprócz starej Egipcyanki, nie było widać przy studni. I zaszło już słońce, a niewolnica egipska siedziała wciąż na tem samem miejscu, nie odrywając oczu od wzgórza Złej Rady. Czekała widocznie, lecz na kogo? czy na co?

Widzieliśmy, jak z wielką radością witała wczoraj młodego swego pana. O matce jednak i siostrze nie mogła mu nic powiedzieć — nic zgoła. Gawędzili długo w noc, poruszając dawne wspomnienia. Prosiła go, aby się przeniósł do swego domu, do pokoju, jaki niegdyś zajmował, a który dziś, dzięki staraniom poczciwej sługi, był taki sam, jak przed laty ośmiu.

Ben-Hur potrzebował jednak utrzymać w tajemnicy swój pobyt w Jerozolimie; tu zaś łatwiej, niż gdzieindziej, szpiegowie rzymscy mogli go wytropić. Obiecał jej jednak przychodzić codzień, w porze, gdy cienie nocy zakrywać będą jego kroki. Piastunka musiała na tem poprzestać i odtąd myślała tylko, jakby mu każde odwiedziny uprzyjemnić.

Pamiętała, że w chłopięcym wieku Judah lubił słodycze. Zaraz więc następnego wieczora udała się wcześniej, niż zwykle, na rynek za bramę Rybią. Tam, gdy chodziła od jednego kramu do drugiego, dla wyszukania najprzedniejszego miodu, do uszu jej doleciało powtórzone kilkakrotnie nazwisko Hur.

Jeden z murarzy, którzy odwalali drzwi celi numeru VI-go, opowiadał właśnie o dwóch niewiastach zagrzebanych żywcem w baszcie Antonii. Amrah stanęła wśród licznej gromadki, przysłuchującej się ciekawie tej opowieści i łowiąc pilnie każde słowo, dowiedziała się wszystkich szczegółów tego strasznego odkrycia.

Przybywszy do pustkowia zaczęła się krzątać około wieczerzy, śmiejąc się i płacząc naprzemian. Dopiero gdy zaczęła zastanawiać się nad usłyszanemi słowami, uderzyła ją nowa myśl. Tak! pani jej i Tirzah zostały odnalezione, lecz... były trędowate! Zapomniała o tem w pierwszej chwili radości.

Gdyby powiedziała Judzie o ich odnalezieniu, musiałaby i to wyjawić, a znaczyło to wystawić go na śmierć nieuchronną. Podążyłby zaraz na wzgórze Złej Rady i chodził od jednego grobu do drugiego, szukając matki i Tirzy, a wtedy straszny ich los stałby się jego udziałem.

Co począć? W wiernem swem, kochającem sercu, Amrah, znalazła jednak radę. Wiedziała, że trę-

dowaci schodzą co rana ze wzgórza dla zaopatrzenia się na cały dzień w wodę. Stawiali konwie swe zdala od innych, oczekując, aż napełni je jaka litościwa ręka. Wdowa Hura i Tirzah, zniewolone pragnieniem, zejdą wraz z innemi — bogaty bowiem i biedny byli równymi wobec tej strasznej choroby.

Amrah postanowiła, nie mówiąc nic Ben-Hurowi, pójść nazajutrz do studni. Spodziewała się poznać swą panią lub być przez nią poznaną.

Taki powziąwszy zamiar, oczekiwała ukochanego chłopca — dla niej dotychczas jeszcze był on chłopięciem. Wkrótce też nadszedł. Zajadając smakowitą wieczerzę, opowiadał jej swoje plany. Nazajutrz spodziewał się Mallucha i mieli obaj rozpocząć poszukiwania.

Po odejściu Ben-Hura zajęła się przygotowaniem prowizyi dla dwóch nieszczęśliwych, a gdy gwiazdy poczęły blednąć na niebie, wzięła konewkę, napełniła kosz mięsem, mlekiem i owocami i podążyła ku En-rogel przez bramę Rybią, którą otwierano najwcześniej.

Wkrótce po wschodzie słońca, gdy ruch przy studni był największy, mieszkańcy grobów poczęli schodzić ze wzgórza. Szły kobiety, niosąc dzbanki na plecach, wlekli się starcy na kulach, dzieci czepiały się łachmanów matek. Amrah nie spuszczała oka z tego korowodu potępionych duchów. Kilka razy zdawało jej się, że spostrzegła wdowę Hura i Tirzę, lecz nie były to one.

Jeden z grobów, u samego prawie podnóża góry, olbrzymim swoim otworem zwrócił uwagę Egipcyanki. Słońce prażyło go przez najgorętsze godziny dnia, czyniąc niemożliwym do zamieszkania. Chyba jaki pies zziajany, powracając z obfitego żeru w Gehennie mógł się tu schronić chwilowo. A jednak właśnie z otworu tego, ku zdziwieniu Amry, wyszły po chwili dwie kobiety. Rozglądały się one wokoło, jak gdyby miejsca te były im obce. Niewolnicy zdało się nawet, iż wzdrygnęły się na widok tego zbiorowiska, do którego przecie same należały. Nieśmiało i jakby z obawą zbliżały się do studni.

— Wara! Zdaleka! — poczęto wołać zewsząd.

Posługacz zamierzył się na nie kamieniem. — Brutalne, gminne przekleństwa posypały się, jak grad na ich głowę. Nawet sami trędowaci ostrzegali je wołaniem: »Precz! nieczyste! nieczyste!«

— Widać, że są tu po raz pierwszy — myślała Amrah — suknie mają całe i obce im są zwyczaje tego miejsca. To one, niewątpliwie one!

Tak rozumując, wstała i, wziąwszy z ziemi kosz i konewkę, szła na ich spotkanie.

Wtem poza jej plecami ktoś cichym, ochrypłym głosem wymówił jej imię.

Egipcyanka obejrzała się, drżąc ze wzruszenia.

— Kto mnie woła? — spytała.

— Amrah! — powtórzyła wyższa z dwóch trędowatych kobiet.

— Kto jesteś? — ponowiła pytanie Egipcyanka.

— Jesteśmy te, których szukasz.

— O pani moja! o pani! — zawołała niewolnica, padając na kolana.

I czołgała się ku nim na kolanach.

— Stój, Amro! Nie zbliżaj się! Nieczyste!

Słowa te, wymówione przez wdowę Hura, przykuły wierną sługę do miejsca.

— O pani moja, gdzie jest Tirzah? — pytała.

— To ja, Amro! Nie poznajesz mnie? Czy mogę cię prosić o trochę wody?

— Patrzcie! — mówiła niewolnica, odkrywając kosz — przyniosłam wam chleba, mięsa i mleka i słodkiego miodu dla ciebie, Tirzo.

Chciała rozesłać obrus.

— Nie czyń tego — prosiła ją wdowa — tamci z góry gotowi cię ukamienować, a nam odmówić wody na zawsze. Zostaw ten kosz, a sama weź konewkę, napełnij wodą i przynieś tutaj. Zabierzemy ją z sobą do grobowca. Spiesz się, droga Amro!

Postawiwszy konewkę i kosz, cofnęła się o kilka kroków.

— Dziękuję ci, Amro! — rzekła wdowa Hura — bardzo to poczciwie z twojej strony.

— Czy nie mogę nic więcej dla was uczynić? — pytała skwapliwie Egipcyanka.

Pragnienie paliło usta matki, lecz ręka, którą wyciągała po wodę, opadła.

— O tak! mam do ciebie prośbę. Wiem — mówiła z rozrzewnieniem — wiem, że Judah powrócił. Widziałam go wczoraj, gdy spał na progu naszego domu. Widziałam, jakeś go witała. Żądam od ciebie jednego tylko. Nie mów mu, gdzie jesteśmy i żeś nas widziała.

— Lecz on was szuka. Przyszedł z daleka po to tylko, aby was odnaleźć.

— Nie powinien nas odnaleźć. Nie powinien stać się tem, czem my jesteśmy. Słuchaj, Amro, co dzień przynosić nam będziesz trochę niezbędnego pożywienia, niedługo to potrwa, niedługo. I codzień rano i wieczór — głos jej zadrżał — codzień będziesz nam mówiła o nim, lecz jemu, Amro, nic o nas mówić nie będziesz. Czy słyszysz?

Amrah załkała.

— Nie, poczciwa moja — ciągnęła dalej wdowa Hura — powiedzieć mu wszystkiego nie możesz, więc trzeba milczeć.

— Ciężko mi będzie dźwigać to brzemię! —

— Ciężej byłoby ci jeszcze widzieć go takim, jakiemi my jesteśmy — przekładała jej mężna niewiasta, i wziąwszy sama konewkę z wodą, podała kosz córce i zaniosły je do swego grobu.

Amrah na klęczkach patrzyła za niemi aż dopóki nie znikły w jego otworze.

Tegoż jeszcze dnia, za nadejściem zmroku, powróciła znowu do owej przeklętej przez ludzi doliny. I odtąd przychodziła tu codzień rano i wieczór.

6. Bójka.

Rano, w piąty dzień października, Ben-Hur podniósł się ze swego posłania w gospodzie, zniechęcony do całego świata. Zaraz po swem przybyciu Malluch wziął się do poszukiwań, rozpoczynając je od baszty Antonii. A rozpoczął je energicznie i śmiało. Kazał się zaprowadzić przed trybuna, dowodzącego załogą w zamku, opowiedział mu wszystkie szczegóły wypadku Gratusa, wykazując niewinność rodziny Hurów. Oświadczył przytem, że zamierza wnieść prośbę do cezara, aby wrócił jej cześć i mienie. Prośba ta wywołałaby niewątpliwie rozkaz zbadania całej sprawy, lecz poszkodowani nie obawiali się najsurowszego bodaj śledztwa. Wykazać ono mogło tylko ich niewinność. Przedewszystkiem jednak szło o dowiedzenie się, czy który z członków tej nieszczęśliwej rodziny jest jeszcze przy życiu. I dlatego to właśnie on, Malluch, sługa Simonidesa, przychodził do trybuna.

W odpowiedzi rzymski urzędnik pokazał mu zeznanie dwóch trędowatych kobiet, odmurowanych niedawno w podziemiach, które, jakeśmy widzieli, spisał był na swych tabliczkach. Z żałobnemi temi wieściami wierny sługa podążył do Ben-Hura.

Daremnem byłoby silić się na opisanie rozpaczy młodzieńca. Siedział długi czas jak skamieniały.

— Muszę je odszukać! — wołał, zrywając się.

Malluch zrozumiał go i również jak stara Egipcyanka, zadrżał o młodzieńca. Po długich prośbach

i przedstawieniach zdołał go nareszcie skłonić, aby nie zapuszczał się pomiędzy groby.

Poszli natomiast do bramy przeciwległej wzgórzu Złej Rady, gdzie od niepamiętnych czasów siadali trędowaci, prosząc o wsparcie u przechodniów. Tu przepędzili cały dzień, rozdając im jałmużny i wypytując o dwie niewiasty, odmurowane przed kilku dniami z podziemi baszty. Nikt o nich nie słyszał.

I przychodzili tak dzień po dniu do końca piątego miesiąca i przez cały szósty, lecz choć sowitą obiecywali zapłatę, niczego dowiedzieć się nie mogli.

A jednak trędowaci nie zasypiali sprawy. Jak od plugawego robactwa zaroiły się od nich stoki wzgórza Złej Rady; zachęceni nadzieją zysku, przetrząsnęli całe miasto zmarłych. Niejednokrotnie też zaglądali do grobu w pobliżu studni En-rogel, badając obie niewiasty, lecz, jakby anioł postawiony na straży, miłość matki i siostry strzegła ich tajemnicy.

Straszna zagadka zamiast się rozjaśniać, zaciemniała się coraz bardziej.

Zniechęcony, gniewny, wyszedł na podwórce gospody. Roiło się ono od ludzi, przybyłych tu podczas nocy.

Judah przypatrywał im się ciekawie. Jedna zwłaszcza grupa ściągnęła na siebie jego uwagę. — Składała się ona z ludzi młodych, silnej budowy ciała. W spojrzeniu ich, w mowie i w ruchach był ogień i życie, jakiemi nie odznaczali się bynajmniej mieszkańcy Jerozolimy i jej okolic. Musieli to być przybysze ze stron dalszych. Istotnie, przysłuchując się ich rozmowie, Ben-Hur dowiedział się, że są to Galilejczycy.

Przychodzili do świętego Miasta, aby wziąć udział w przypadającym w tym dniu obchodzie Trąb. Ben Hur w sprawie nadchodzącego Króla z Galilei właśnie największego spodziewał się od nich poparcia.

Z ciekawością też przyglądał się owej grupie, a po głowie jego zaczynały już snuć się plany utworzenia z ludzi tych zbrojnych zastępów, na wzór legionów rzymskich, gdy na podwórce khanu wpadł człowiek jakiś mocno wzburzony.

— I cóż stoicie? — wołał na Galilejczyków. — Rabini i starsi idą do Piłata. Chodźmy z nimi.

Otoczyli go w jednej chwili.

— Idą do Piłata? Po co?. — pytał go jeden przed drugiego.

— Odkryli nadużycie. Budowa nowego wodociągu ma być opłacona z pieniędzy świątyni.

— Jakto? śmianoby naruszyć skarb święty?

— Chodźcie zatem — wołał nowoprzybyły. — Pochód rabinów przeciąga teraz przez most. Całe miasto wysypało się z domów i idzie za nimi. Możemy się tam zdać na co. Spieszcie się.

Na takie hasło ludzie z Galilei w mgnieniu oka zrzucili wierzchnie szaty i z odkrytemi głowy, w krótkich tunikach bez rękawów, stanęli w stroju, w jakim zwykli byli wspinać się po górach za trzodami.

— Jesteśmy gotowi — wołali chórem i szykowali się już do wyruszenia w pochód.

Ben-Hur zastąpił im drogę.

— Ludzie z Galilei! — przemówił do nich. — Jestem synem Judy. Czy zechcecie przyjąć mnie do swojej kompanii?

— Przyjdzie nam się może bić! — odparli.

— Tem lepiej! Nie będę pierwszym do ucieczki.

Odpowiedź taka podobała się młodym junakom. Ten co przyszedł ostatni, a zdawał się być w wielkiem wśród innych poważaniu, zmierzywszy Judę spojrzeniem, rzekł:

— Wydajesz mi się silnym, chodź z nami.

Ben-Hur także zdjął wierzchnią suknię.

— Więc sądzicie, że może przyjść do bójki? — mówił, zacieśniając pasa.

— Niewątpliwie.

— Z kim?

— Ze strażą.

— I czemże będziecie się bili?

— Prawda, nie mamy broni. Zapomnieliśmy o tem — mówili przygnębieni.

— Ha! to trudno! — pocieszał ich Judah — i bez niej damy sobie rady. Lecz, jak sądzicie, czy nie wartoby wybrać przywódcy? Legioniści mają go zawsze, to też idą do boju jakby jeden mąż.

Galilejczycy poglądali ze zdziwieniem — widocznie po raz pierwszy słyszeli o czemś podobnem. Żaden z nich się nie odezwał.

— No, to przynajmniej musimy się trzymać razem — mówił Ben-Hur, widząc ich wahanie.

— Dobrze! — odparli jednogłośnie.

I podążyli ku Jerozolimie. Po drodze Galilejczycy spotykali co krok ludzi, również jak i oni podrażnionych wieścią o zamierzonem świętokradztwie.

Gdy stanęli u bram Praetorium, rabini i starsi, w licznym orszaku, byli już je przeszli.

Poza wrotami został tłum hałaśliwy i rozjuszony. Wejścia strzegł centurion na czele zbrojnej straży. Stali jak posągi, zarówno obojętni na palące jego promienie, jak i na wrzask motłochu.

Przez otwarte bronzowe drzwi w bramie ludzie cisnęli się do wnętrza. Przed pałacem stali rabini i domagali się, aby do nich wyszedł Piłat. On kazał im powiedzieć, że nie wyjdzie. Lecz rabini ustąpić nie chcieli, oświadczyli przez jednego ze swoich, że nie ruszą się dopóki ich nie wysłucha.

— Chodźmy tam! — zawołał Ben-Hur.

I wszedł w bramę na czele Galilejczyków.

W zajściu tem dostrzegał on to, czego bezwątpienia nie widział żaden z jego towarzyszów, mianowicie, że chodziło tu nietylko o utarczkę pomiędzy wielkorządcą a rabinami, lecz że nadeszła chwila, w której jedna strona narzuci wolę swoją drugiej.

Poza bramą był plac obszerny; na przeciwległym jej końcu wznosiło się tak zwane Praetorium, którego wschodnie skrzydło zajmował obecnie Piłat. Wzburzony tłum zaległ całą tę przestrzeń. Oczy wszystkich zwrócone były na portyk pałacu, pod którym stali ustawieni dwoma szeregami legioniści. Ścisk był tak wielki, że kompania nasza musiała zostać na uboczu; zdala tylko widzieli na przodzie wysokie zawoje rabinów.

Upłynęła godzina, a choć Piłat nie raczył dawać im odpowiedzi, rabinowie i pospólstwo nie ustępowali. Około południa spadł deszcz ulewny, lecz nie rozpędził zbiegowiska; przeciwnie, stawało się ono coraz liczniejsze, coraz hałaśliwsze. Pozwolono sobie nawet lżyć Piłata — z początku ciche, potem głośne rzucano mu przekleństwa.

Ben-Hur powstrzymał Galilejczyków od wszelkich objawów niezadowolenia. Wiedział, że rzymska buta weźmie górę nad wszelkimi innymi względami i że koniec tego zajścia już jest bliski.

Piłat oczekiwał tylko, aby Żydzi sami dali mu powód i wymówkę do użycia gwałtu.

Jakoż wkrótce rozległy się odgłosy razów, po nich jęki bólu i okrzyki wściekłości. W tłumie zawrzało. Ci co byli w tyle, pchali się naprzód, ze środka usiłowano wydostać się na zewnątrz, tłoczono się wzajemnie. Tysiące głosów rzucało naraz pytania, a gdy nikt nie miał czasu ni głowy odpowiadać, powstał nieopisany popłoch.

Ben-Hur jeden zachował przytomność umysłu.

— Czy widzisz co? — pytał jednego z młodzieńców galilejskich. — Podniosę cię do góry. No i cóż tam?

— Widzę teraz — mówił Galilejczyk — kilkunastu ludzi, uzbrojonych w maczugi, bije naszych.

Ubrani są po żydowsku, lecz na Boga wszechmocnego, psem jestem, jeśli to nie Rzymianie poprzebierani. Maczugi ich, jak cepy na klepisko, opadają na głowy ludzi. Och! podli! Oto powalili na ziemię jednego z rabinów, sędziwego starca. Nie oszczędzają nikogo!

Ben-Hur postawił na ziemi młodzieńca.

— Mężowie z Galilei! — zawołał — to są sztuczki Piłata! Jeśli chcecie mnie usłuchać, damy radę tym nikczemnikom. Cofnijmy się ku bramie — przekładał im Judah — drzewa, które tam posadził Herod, choć nie miał prawa ich sadzić, zdadzą się nam na teraz.

Wszyscy, jak jeden mąż, rzucili się do muru; jedni odłamywali co większe gałęzie, drudzy, silniejsi, wyrywali drzewa z korzeniami. Wkrótce uzbrojeni tak, szli śmiało do boju.

— Za mną teraz! Trzymajcie się razem! — wołał Ben-Hur.

Sami nie wiedzieli, jak i kiedy poddali się pod jego komendę. Szedł naprzód i torował drogę utworzonemu na prędce oddziałowi.

A gdy tak Rzymianie, wymachując maczugami na prawo i na lewo, przeciskali się naprzód, nagle znaleźli się twarzą w twarz ze zbrojnymi i gotowymi do walki zapaśnikami. Zdziwienie ich było wielkie.

Posypały się ciosy z jednej i z drugiej strony; przeciwnicy nacierali na siebie z zaciętością bojową, którą zwiększała jeszcze plemienna nienawiść, i walczyli mężnie. Żaden jednak Rzymianin ani Galilejczyk nie zdołał dorównać Ben-Hurowi.

Był z niego równie doskonały wódz, jak i szermierz. W okrzyku jego bojowym brzmiała zachęta dla swoich, pogróżka dla nieprzyjaciela.

Rzymianie widząc, że zostaną pokonani, poczęli się cofać ku portykowi. Zapalczywi Galilejczycy chcieli gnać za nimi aż do progów pałacu, ale Ben-Hur ich powstrzymał.

— Stójcie! — woła. — Tam oto nadchodzi centuryon ze strażą; mają miecze i tarcze; nie zdołamy im się ostać. Zrobiliśmy swoje. Teraz nazad.

I znowu byli mu posłuszni. Lecz co krok musieli się potykać o ludzi powalonych na ziemię — ci jęczeli, tamci błagali o pomoc, inni leżeli jak martwi. Nie wszyscy jednak na pobojowisku byli Żydami. W tem jednem była pociecha.

Poza bramą był tłum, jakiego Judah nie widział jeszcze nigdy, nawet w cyrku w Antyochii.

Dachy domów, ulice, wierzchołki gór usiane były ludem. Ku niebu wznosiły się błagalne modlitwy, na głowy Rzymian spadały przekleństwa.

Choć straż przy bramie przepuściła swobodnie Ben Hura i jego towarzyszów, lecz zaledwie przeszli wrota, ukazał się w nich centuryon.

— Sam tu, zuchwalcze! — zawołał na Judę. — Żydem-li jesteś, czy Rzymianinem?

— Jestem synem Judy — odparł młodzieniec. — Czego chcesz odemnie?

— Wyzywam cię do walki.

— Czy do pojedynczej?

— Jak chcesz.

Ben-Hur zaśmiał się urągliwie.

— O mężny Rzymianinie! — mówił. — Godny synu Jowisza! Widzisz, że nie mam broni.

— Dam ci moją — odparł centuryon — a sam pożyczę jej u straży.

W jednej chwili ustały wrzaski i złorzeczenia. Ci, co słyszeli tę rozmowę, umilkli; ci, co słyszeć jej nie mogli, umilkli także, sami nie wiedząc dlaczego. W tłumie zapanowała cisza. Oczekiwano.

Niedawno pokonał był Ben-Hur Rzymianina w oczach Antyochii i całego Wschodu, jeśli teraz jaszcze uda mu się pobić drugiego w oczach Jerozolimy, sława jego rozniesie się po ziemi Judejskiej i Galilei i zyska rzeczników dla sprawy nadchodzącego Króla.

Nie wahał się. Podszedł śmiało do centuryona i rzekł.

— Przyjmuję twoje wyzwanie. Daj mi miecz i tarczę. Hełm i pancerz możesz zatrzymać. Obejdę się bez nich.

Zapaśnicy stanęli naprzeciw siebie.

— Kto to taki? — Pytano się nawzajem w tłumie. Nikt nie znał tego junaka.

Trzeba wiedzieć, iż przewaga Rzymian w boju polegała w części na właściwem tylko im użyciu krótkiego miecza. W walce zamiast ciąć nim lub uderzać, od początku do końca nacierali tylko pchnięciami, mierząc zazwyczaj prosto w twarz przeciwnika.

Taktyka ta dobrze była znana Ben-Hurowi.

To też, jako uczciwy szermierz, przed rozpoczęciem utarczki, postanowił ostrzedz o tem współzapaśnika.

— Mówiłem ci już, że jestem synem Judy, lecz nie wiesz jeszcze, że będziesz miał do czynienia z uczniem wojowników rzymskich. Broń się! — zawołał.

Rzymianin natarł pierwszy, zadając pchnięcie z dołu. Żyd zaśmiał się tylko. Zaraz potem drugie pchnięcie, a jakkolwiek ruch ten był szybki, Ben Hur szybciej jeszcze odskoczył w bok.

Teraz sam natarł, nadstawiając centuryonowi tarczę, w której miecz tegoż zagrzązł po pchnięciu silnie. Korzystając z tego obezwładnienia przeciwnika, Żyd pchnął go w lewy bok. Centuryon powalił się na ziemię.

Z nogą na karku nieprzyjaciela, według zwyczaju gladyatorów, podniósł tarczę nad głową i salutował po wojskowemu żołnierzy, stojących w bramie, jak posągi.

Gdy lud zrozumiał, iż szermierz jego odniósł zwycięztwo, owładnął nim szał radości. Chwała młodzieńca, idąc od dachu do dachu, od wzgórza do wzgórza, rozeszła się po mieście. Gdyby był na to pozwolił, Galilejczycy w tryumfalnym pochodzie ponieśliby go na ramionach. Lecz on wydawał się obojętnym na te oznaki zachwytu. Właśnie w bramie ukazał się centuryon z przed portyku.

Ben-Hur przystąpił do niego.

— Towarzysz twój poległ jako rycerz. Nie ściągnę z niego łupu — rzekł — lecz tarcza i miecz, któremi go pokonałem, należy mi się z prawa — i biorę je.

Tłum obstąpił Judę. Każdy chciał zobaczyć go zbliska. On zwrócił się do Galilejczyków.

— Bracia! — zawołał — sprawiliście się gracko. Teraz trzeba nam się rozłączyć dla odwrócenia podejrzeń. Czy zechcecie przyjść dzisiaj wieczorem do khanu w Betanii? Pomówimy o rzeczach ważnych.

— Przyjdziemy! przyjdziemy! — wołali.

— A więc, na znak, przynieście mi ten miecz i tę tarczę. Po tem was poznam.

— Kto jesteś? — pytali go z ciekawością.

— Jestem synem Judy. Nic nad to powiedzieć wam nie mogę.

I przeciskając się przez ciżbę, zniknął w niej.

Z rozkazu Piłata tegoż jeszcze dnia mieszkańcy Jerozolimy uprzątnęli swoich rannych i zmarłych.

A wiele było po nich płaczu i lamentu; lecz wśród tej żałoby tryumf odniesiony przez Żyda nad wrogiem, był jako balsam na rany. Podniósł on słabnącego ducha w narodzie.

W taki to sposób Ben-Hur uzyskał znaczenie i wpływ nad Galileją, a wszystko to, aby wyrównać ścieżki przed Tym, co nadchodził.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z DAWNEGO SEJMIKU.



Jak długo Polska kwitnęła, wszyscy jej politycy, od kanclerza do wyborcy na sejmiku, byli rozważni i poważni. W czasach upadku, w wieku siedmnastym, sejmiki odbywały się burzliwie a nierzadko lała się krew. Wziąć na ręce ulubionego kandydata, a ciąć szablami przeciwnika politycznego było rzeczą zdarzającą się u wyborców w dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Takie politykowanie przyprawiło kraj o upadek a szlachtę polską doprowadziło do zguby. Nauczeni tem doświadczeniem dzisiejsi wyborcy powinni postępować inaczej. Szabel już niema dziś, ale trzeba kije i koły precz odrzucać, tymi zaś, którzy ich używają, pogardzać jako szkodnikami do zguby lud wiodącymi.

Zabawy ludowe w Zielone Swiątki.

Zielone Świątki, to po Bożem Narodzeniu i Wielkiej Nocy najuroczyściej obchodzone święto przez Polaków. Przypada ono w tej porze roku, gdy nietylko człowiek, ale i wszelki rodzaj zwierząt, ptactwa, ryb cieszy się i rozwesela zielonością, albowiem pola, gaje, sady, ogrody i łąki, jakby się umyślnie wystroiły w tym czasie, by piękność swą i krasę okazać w całej pełni.

Zielone Świątki, to święto rolników, witających radośnie i uroczyście zmartwychwstającą po zimie i rozkwitającą matkę przyrodę.

Zielone Świątki przypadają w tym czasie, gdy nasi praojcowie, w czasach pogańskich obchodzili uroczystość »Nowego lata«, to też wiele obchodów takich zachowało się z owych czasów po dzień dzisiejszy w niektórych okolicach.

Wśród innych, ciekawy obchód »z królewną« zachował się na Podlasiu nadnarwiańskiem pomiędzy ludem tamtejszym, a ma on przebieg następujący:

Podczas Zielonych Świątek dziewczęta całej wioski wybierają ze swego grona jedną z młodszych na »królewnę«, oraz 6—8 starszych na jej marszałków. Ubieranie królewny rozpoczyna się śpiewem.

Królewnę ubierają w różową sukienkę, przepasują niebieską lub czerwoną wstęgą, dokoła głowy zatykają »czuby« z ruty, barwinku i lilii, tworzące rodzaj korony i całą głowę przykrywają chustką tak, zeby oblicza królowej nikt nie widział. Dziewczęta, mające być marszałkami, ubierają białe spodnice, ciemne czapki i kapoty mężczyzn, oraz przepasują się czerwonymi pasami. Czapki ich zdobią: wstążki, ruta i barwinek. Orszak ten obchodzi ze śpiewami granice wioski.

Chłopcy podczas tego pochodu przebiegają drogę, aby zobaczyć królewnę, za co otrzymują piosnkę:

> Ja myślałam, żeś ty panicz,
> Kazałabym kura zabić;
> A ja widzę, żeś ty rura:
> Pożal Boże mego kura!

Chłopcy miejscowi, zebrani wszyscy zazem, wziąwszy flaszkę miodu i skrzypce, wychodzą na powitanie królewnej z muzyką. Spotkanie to następuje w miejscu poprzednio upatrzonem a dogodnem, gdzie następują tańce i zabawa.

Po zabawie wracają wszyscy do wioski, do dworu, lub zamożniejszego gospodarza na biesiadę.

Gościna ta rozpoczyna się w ten sposób: Przy ścianie stawiają stół, a na nim kładą poduszkę, na której sadowią królewnę i zdejmują jej z głowy zasłonę. Gospodarz daje pierwszy poczęstunek, po którym chłopcy przynoszą miód we flaszkach a dziewczęta od matek swoich zakąski. Wszystko zakończa się wesołą, lecz przyzwoitą zabawą i tańcami.

Na Kujawach, w okolicy jeziora Gopła, jest zwyczaj wybierania w dniu tym »króla pasterzy« i »królowej pasterek«. Które z pastuszków najpierwsze przypędzi w Zielone Świątki bydło na pastwisko, otrzymuje ten zaszczytny tytuł, zaś kto ostatni przypędzi, to sam przez trzy dni zajmować się musi dopilnowaniem i pasieniem bydła, a inna młodzież w tym czasie oddaje się zabawom.

Tak to bawią się w niektórych okolicach, a że zabawy te odbywają się statecznie i spokojnie, więc budzą radość w sercach ludzkich. U nas dawne zabawy i obchody idą w zapomnienie a ich miejsce zastępują pijatyki i bitki wprowadzone wśród poczciwą ludność przez zagranicznych socyalistów.

Antoni St. Bassara.

Gawędy o Różnych Sprawach.

Święto gospodarności polskiej.

Minęły już czasy, gdy Niemcy o naszej gospodarności i oszczędności wyrażali się złośliwie: »Polska gospodarka«, znaczyło u Niemców tyle, co zła, nieudolna, tyle co próżniactwo, bezmyślne trwonienie grosza, nieporadność itp.

Minęły te czasy już dawno. Przedewszystkiem pod zaborem pruskim samym Niemcom pokazaliśmy, jak umiemy się rządzić. Istnieją tam niezliczone polskie kasy, banki i stowarzyszenia, które obracają milionami, będącymi własnością polskiego mieszczaństwa i włościaństwa, tak że sami Niemcy zdumiewają się, widząc tę naszą gospodarność, oszczędność i materyalną zaradczość. W Galicyi sprawa odrodzenia ekonomicznego tak pomyślnie się nie rozwinęła jeszcze, jak w W. Ks. Poznańskiem, ale w ostatnich dziesiątkach lat uczyniliśmy ogromne postępy. Nie siedzimy już dziś tak jak ongi w kieszeniach niemieckich i żydowskich, w miasteczkach całego kraju mnóstwo kas oszczędności i Towarzystw zaliczkowych, we wsiach mnożą się kasy Raiffeisena, wyrywające potrzebujących kredytu ze szponów żydowskich lichwiarzy. Bez samochwalstwa i czczej zarozumiałości powiedzieć więc można, że kraj zmierza pod tym względem ku lepszemu.

W poniedziałek, 29 maja, odbywał się w Krakowie uroczysty jubileusz 50-letniego istnienia Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń. W szeregu instytucyi naszych finansowych Tow. ubezpieczeń jest najpoważniejszem. W ciągu półwiekowego istnienia objęło swą działalnością setki miast, miasteczek i tysiące wsi w Galicyi, na Śląsku i na Bukowinie. Tysiącom ludzi ubezpieczonych, którzyby po pożarze byli zrujnowani i poszli z torbami żebraczemi, przychodziło z pomocą, stawiając ich na nogi, pomagało w klęskach gradowych, ubezpieczało na życie, zapewniając rodzinom po śmierci ojca większe sumy pieniędzy, a nadto z corocznych zysków znaczne ofiary pieniężne składało na różne cele religijne, oświatowe i dobroczynne.

Rada nadzorcza Towarzystwa postanowiła mianowicie przeznaczyć na cele użyteczności publicznej kwotę 420.000 kor., a to 300.000 kor. na fundacyę jubileuszową, mającą służyć celom oświatowym i ekonomicznym, w szczególności na stypendya na kształcenie pracowników w rolnictwie, przemyśle i handlu. Pozostałą kwotę 120.000 k. przeznaczyła Rada nadzorcza na jednorazowe dary: dla Towarzystwa szkoły ludowej, dla Macierzy szkolnej Księstwa Cieszyńskiego, na budowę kościołów i kaplic, dla Galicyjskiego Towarzystwa gospodarczego we Lwowie i dla Towarzystwą rolniczego w Krakowie na cele oświatowo-rolnicze, dla ochotniczego Towarzystwa ratunkowego w Krakowie, dla ochotniczego Towarzystwa ratunkowego we Lwowie i t. p.

Dzisiaj Towarzystwo obracające setkami milionów znane jest jako jedno z największych w całym świecie! Oto wspaniały dowód, że nie jesteśmy lekkomyślnym narodem utracyuszów, że umiemy oszczędzać, pomagać sobie wzajemnie materyalnie, że posiadamy dar rządzenia się i wytrwałość w pracy; że nie ustępujemy w tym względzie nawet przezornym i pracowitym Niemcom, gdyż właśnie pod Prusakiem polski chłop i mieszczanin pracą i oszczędnością stał się najzamożniejszym!

Równa zapłata.

(Humoreska).

Pewien żydek, nie mogąc się nic dorobić na swym handlu w mieście, postanowił sobie na wsi wyszukać pomieszkanie, bo jak zwykle na wsi i żydkom lepiej się powodzi. Idzie więc żydzisko na wieś i chata od chaty dopytuje się, czy gdzie niema stancyi do wynajęcia, przynajmniej na kwartał. I dopytał się. Była u jednego niebogatego wieśniaka próżna stancya, więc myśli sobie rolnik, niech najmie, dobre i kilka koron.

Chłopek ów miała kilka metrów materyi zanieść sobie do krawca na ubranie i powiada tak do żyda:

— Wiesz co żydzie, możesz mieszkać u mnie zaraz od jutra, tylko dasz mi naprzód coś pieniędzy, bo ma mi krawiec zrobić ubranie na Wszystkich świętych, więc z góry mu zapłacę.

— A czy macie jeszcze w domu materyę? — pyta żyd.

— Mam — odpowiada chłop na to.

— Kiedy tak, to ja wam uszyję na Wszystkich świętych, to nie będę płacić pieniądzów.

— Dobrze! to sprowadź się! a tu masz materyę — odparł wieśniak.

Żyd sprowadził się, a widząc, że to jakiś prosty goj więc o nic więcej się nie pyta, tylko bierze materyę chłopa, chowa do swego kufra a swój stary chałat rżnie nożycami na drobne kawałki zeszywa niby na małe woreczki, mówiąc:

— Na świętych wystarczy i tak oni żadny ubrani nie potrzebują, ale głupi goj myśli, że oni chcą ubranie.

Nadszedł nareszcie dzień Wszystkich świętych. Przychodzi więc chłop do żyda i pyta się o swoje ubranie.

— Ny czemu nie! Ja sze umim stać na słowie — mówi żyd.

— A więc pokaż, niech przymierzę.

Przynosi żyd same kawałki zeszyte i to nie z otrzymanej materyi ale z jakiegoś brudnego chałata. Złapał się chłop za głowę i powiada:

— A dla Boga świętego! żydzie! coś zrobił?

— Nu, nu cicho — powiada żyd — dla Boga największy i pokazuje największy worek.

Wtedy chłop jak nie złapie kija, jak nie zacznie żyda okładać, aż ten musiał mu oddać całą jego materyę.

Mimo tego żyd mieszkał jeden kwartał, drugi i trzeci i płacił czynsz regularnie. Nareszcie powiada:

— Wisz, co chłopie, ja sze czebi nie boji, bo ja twoi chałupy zaużywał, ty mi nic nie zrobisz.

Chłop nie chcąc się procesować ze żydem powiada na to:

— Dobrze, nic mi nie będziesz płacił za mieszkanie, ale pod takim warunkiem, że ci jednego dnia wyrwę jeden włos z głowy, a drugiego dnia z pejsa i tak codziennie.

Żyd zgodził się na to i chłop codziennie wyrywał mu po jednym włosie, aż przyszedł dzień Wszystkich świętych. W dniu tym powiada chłop do żyda:

— Dziś ci całą brodę i pejsy obedrę, bo dziś Wszystkich świętych razem.

Żyd nie chciał się na to zgodzić i tak rad nierad musiał uciekać z jego domu i takim sposobem chłop się pozbył żyda z chaty.

Michał Wojnarowicz.

U PROGU SZCZĘŚCIA.



Marysia Babikówna od niejakiego czasu zmieniła się ogromnie. Dawniej, czy na dworze pogoda czy słota, gorąc upalny czy zimno dojmujące, ona była wesoła i szczebiotliwa, jako to ptasze polne. Gdziekolwiek stanęła swą drobną nóżką, radość i wesele szły za nią i rozjaśniały świat, a na ludzkie twarze padały od niej radość i wesele.

Była jedynaczką, córką zamożnych gospodarzy, mieszkających tuż nad samą granicą, między Galicyą a Królestwem Polskiem. Jako jedynaczka wychowana w dostatku nie zaznała nigdy troski i zmartwienia, to też nie dziw, że smutek nigdy nie zagościł na jej twarzy.

Tak było dawniej, ale zmieniło się to wszystko od wesela jej stryjecznej siostry Kasi, która ubiegłej zimy poszła na własne gospodarstwo. Wesele to było huczne, jak rzadko, to też nietylko cała wioska wzięła w niem udział, ale przybyli parobczaki z za kordonu, z poza słupów granicznych. Przybyli, hulali do upadłego, baraszkowali, a po weselu odeszli do swoich chat rodzinnych. Odeszli, lecz jeden z nich, Stach Mierzwa, chłopak jak świeca, a urodny, gdyby cherub jaki, tak w sobie Marysię rozmiłował, że niczem jej już była i piosnka wesoła, niczem nawet i chatka rodzinna.

Gdy tylko znalazła chwilę wolną od pracy, szła na pole za wioskę, wśród którego biegł pas graniczny. Pas ten znaczyły martwe słupy graniczne i żywe słupy w postaci żołdaków moskiewskich. Serce dziewczyny rwało się za ukochanym, radaby była choć raz jeszcze na niego popatrzeć, ale bez paszportu przejść pasa granicznego nie wolno.

Minęło dni kilka od owego pamiętnego dla Marysi wesela, ale nie minął żaden z nich, aby ona nie wybiegła za wioskę i nie przesłała westchnienia w stronę, w którą poszedł jej ukochany.

Pewnego wieczoru, gdy stała na zwykłem miejscu i marzyła o ukochanym Stachu, ktoś niespodziewanie wycisnął ognisty pocałunek na jej białem ramieniu. Wystraszone dziewczę odwróciło główkę i ze zdziwieniem ale i radością zobaczyło swego Stacha. Choć serce jej rwało się ku niemu, choć radaby była rzucić mu się na szyję i w uściskach miłosnych zadusić go na śmierć, ale wstyd dziewczyny nie pozwalał na to. Wyrwała rękę z jego uścisków i lekka, jak sarna, pobiegła ku chacie rodzicielskiej.

Żałowała jednak tego serdecznie, bo sądziła, że Stach nie zrozumie jej i odejdzie z powrotem oburzony. Stało się przecież ku jej radości inaczej. Stach nietylko rozpalił serce dziewczyny ku sokie, o czem dotychczas nie wiedział, ale i sam rozgorzał ku niej ogromną miłością. To też nie dał za wygraną, ale pospieszył w jej ślady i wkrótce znalazł się w obejściu Babików.

Starzy rodziciele Marysi przyjęli chłopca nadzwyczaj gościnnie, domyślając się w głębi duszy, co go w ich progi sprowadziło. Dziwiła ich tylko nierozwaga młodego, że dla takiej kozy, jak nazywali Marysię, odważył się przekradać przez granicę, czem narażał się na śmierć nawet, gdyby go był który ze strażników zobaczył. Wiadomo bowiem, że przez granicę może przechodzić tylko ten, kto ma na to po-

zwolenie, t. j. paszport lub przepustkę; dla innych przejście wzbronione. Gdy ktoś przekrada się przez granicę, to do niego strażnicy bez pardonu strzelają.

Stach o żadne pozwoleniu się nie pytał — serce gnało go ku umiłowanej a to mu wystarczało. Zresztą młodzież z wiosek nadgranicznych do takich zabronionych przekradań się była przyzwyczajoną, bo czy to wesele czy inna zabawa w sąsiedztwie poza słupami granicznymi, nie było czasu starać się o pozwolenie, ale trochę odwagi i sprytu wystarczało do przejścia bez wypadku.

Stach, znalazłszy się w zagrodzie Babików, nie wystawiał ich długo na domysły, ale jako chłopak szczery i otwarty, powiedział im odrazu, że bez Marysi żyć nie może, bo ją tak umiłował, iż mu bez niej ani praca, ani jedzenie, ani żadna wesołość nie smakuje.

Udał się chłopak Babikom, a że widzieli, iż także i Marysia patrzy w niego, jak w tęczę, nie stawiali żadnych przeszkód pobraniu się młodych. Postanowiono podczas dalszych odwiedzin, że ślub ich odbędzie się z wiosną, poczem młodzi osiędą na gospodarstwie Babików.

Co starzy uważają za krótkie, to młodym wydaje się to latami. Szczególniej Stach radby był tej chwili szczęśliwej nie odwłóczyć, ale nie chciał się rodzicom swej przyszłej sprzeciwiać, więc zgodził się bez oporu. Od czasu do czasu jednak przekradał się przez granicę i biegł, aby swej umiłowanej popatrzeć w oczy i posłuchać jej szczebiotu. Marysi tylko w jego obecności powracała dawna wesołość — inaczej była smutna i zamyślona.

Czas mijał szybko i zbliżała się upragniona chwila dla młodych. Pewnego dnia Stach, jak zwykle, przekradł się przez granicę i przybył do Babików, gdzie uradzono dać na najbliższą niedzielę na zapowiedzi, po wyjściu których bezwłocznie postanowiono wyprawić weselisko.

Przy pogadance chwile mijały szybko, to też wkrótce zgasły ostatnie blaski dnia majowego, a gwiazdy poczęły błyskać na niebie.

— Czas mi — rzekł Stach.

— Odprowadzę cię — rzekło dziewczę i dwoje młodych wyszło z chaty. Szli obok siebie, milcząc, lecz serca ich prowadziły niemą rozmowę. Nareszcie nadeszła chwila rozstania. Usta chłopca spoczęły na krasnych licach Marysi i Stach znikł wśród drzew, gdzie bielił się słup graniczny.

Marysia nie wracała jednak zaraz do domu. Wzrok jej biegł za ukochanym, a ucho śledziło szmer kroków, który oddalał się coraz bardziej.

Nareszcie i szmer ucichł. Już miała dziewczyna biedz ku domowi, gdy powietrze przeszył odgłos strzału. Serce jej ścisnęło się ogromnem przeczuciem. Zamiast wracać do domu, skierowała swe kroki w stronę, w którą oddalił się ukochany. Obawa przepełniła ją całą. Rzucając wzrok przelękniony do koła, posuwała się cicho i ostrożnie ku słupom granicznym. Gdy już była przy słupie, usłyszała ruch jakiś podejrzany. Przystanęła więc i czekała dość długo. Gdy się już wszystko uciszyło, poszła dalej.

Nadzieja poczęła wstępować w jej serce, że Stach zdołał przejść szczęśliwie, gdy nagle noga jej potknęła się na czemś rozciągniętem na ziemi.

— Boże! — wyrwał się okrzyk z ust dziewczyny. Rzuciła się na ziemię i przy słabym blasku księżyca poznała swojego Stacha krwią zbroczonego. Żył jeszcze, ale tylko tak długo, aby tylko wyszeptać ostatnie pożegnanie swej drogiej Marysi. Padł biedny u progu szczęścia.

Na drugi dzień strażnicy znaleźli ciało Stacha i szlochającą nad jego zwłokami Marysię.



MACIEK BZDURA GADA:

Kaśka Myrdalonka to okrutecnie kuntenta, zem się tego kandydowania odprzysiąg. A i ja tez kuntentny, bo co baba to baba a nie zadne kandydowanie. Bez baby to człek od samy małości do samy starości obyć się ni moze.

Baba chłopu to tak potrzebna, jak, nieprzymirzając, organiście kalikant, gróbarzowi łopata a siandarowi złodzieje. Choćby był najlepsy organista i bez cały dzień tłuk na organach, to z nich ani pary nie puści, jak mu kalikant nie zakalikuje.

Abo gróbarz, choćby był chłop jak dąb, to jakze grób wybierze, jeśli nie będzie miał łopaty? Przecie jęzorem dziury kopał nie będzie.

A coby było po siandarach, jakby nie było złodziejów, kogoby łapali? Chyba pchły po wójtowej pierzynie.

Wszyćkie więc rodzaje ludzkie są potrzebne, a już najbardzi baby, bo te są la człeka przydatne od samy maleńkości aż do śmierci.

Jageś był małym brzdącem, to ktoby ci był nos i gębę obtarł, jak nie baba? A i potem, gdy się człek na pastucba wyhadukuje, to znowu baba potrzebna, bo i jedzenie upitrasi i bydło pomoze wygnać takiemu pastuchowi a przy niedzieli, to i z owadów głowę oharuzy. W starsiejsych latach z kiemzeby chłopaki hulały po weselach, o kogoby się biły po karcmach, jakby babów nie było? A jak juz powazne lata na chłopaka przyjdą i chce się ustatkować, to z kiemzeby się ozenił, jakby baby nie było. Przecie za zonę nie pojmie ani wiechcia z buta, ani stary miotły.

I zeniaty bez baby nijak obejść się nie moze! Baba, choćby najgorsa, to mu i hadery wypierze i dziecka zabawi i jajośnicy ugdysi i wszyćko a wszyćko ucyni. Bez baby byłby człek jak organista bez kalikanta, choćby się nie wiem jak nadymał, wcaleby pary ze siebie nie puścił.

Do samy starości baba potrzebna a jesce i po śmierci bez niej się człowiek nie obejdzie. Ona, gdy kto zamrze, choćby to był jej wróg śmiertelny, to zaraz będzie wyła, jak najęta. A zreśtą, choćby i nie to, to ktoby grzysne cielsko nieboscyka po śmierci ocharuzył, jakby nie baba.

Na kazdem kroku więc, gdzie się ino człek obróci, zawse i wszędzie baba jest przydatna, jak gróbarzowi łopata. La tego tez i ja taką swoją babę mieć muszę, a ze to Kaśka Myrdalonka i w sobie urodna i do gadania śwarna, więc do niej się skrobnę, by mi wiecznością ślubowała. Zdaje się mi, co i ona nie będzie od tego, boć wiadoma rzec, że kuzda baba tak na chłopa łasa, jak kot na mysy abo na śmietanę. Zreśtą to ona mnie pewnie juz chce, bo wcora, jak my plewili zimiaki, to na mnie bryłą cisnęła.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

Do komnaty wszedł Padyga, za nim tłum szlachty, z dobytymi szablami wszyscy.

Starosta się żachnął, za szablę chwycił... Ożga w kąt wcisnął...

— Czołem, panie starosto! — zawołał Padyga, stając na środku komnaty.

— Powitać! Powitać!! — wrzasnęli inni.

— Widzisz, panie starosto, żeśmy weszli pomimo zakazu — szyderczo począł Padyga. — Ano... w naszych jesteś rękach, panowanie waszmościne skończone...

— Ha... ha... ponieśli i wilka!! — rozśmiał się Włobodowski.

— Ponieśli i wilka — zawtórowała szlachta.

— To gwałt... to napaść... to bezprawie... — syknął pan Łukasz zapieniony ze złości. — Na publicznej drodze napaść...

— Śmiesz jeszcze zarzucać nam bezprawie... panie starosto? — surowo przerwał mu Padyga. — Masz na sumieniu tyle oszustw i zbrodni, a zamiast kajać się, w gniew niegodziwy tu wpadasz! Opamiętaj się, albowiem ręka nasza cię nauczy, na co zasłużyłeś. Są tu niedaleko ludzie wojewodzińscy, im cię oddamy i gardłem przypłacisz za to, coś uczynić chciał z córką twego brata, na zgubę i potępienie ją umyślnie zdając, bez ratunku!

Tu przerwał swą mowę, z oburzeniem i głosem wielkim wypowiadaną, albowiem starosta posiniał i zaczął ustami łapać gwałtownie powietrze.

— Zachorował! — wołali jedni.

— Umiera! — dodawali inni.



...Trzepiąc ramionami, upadł na ziemię...

Padyga nachylił się nad starostą, który właśnie w tej chwili trzepiąc ramionami, upadł na ziemię. Wziął leżącego za rękę i poznał odrazu co się stało...

W istocie starostę tknęła apopleksya... nie żył. Natychmiast krew mu puszczono... wszelako bezskutecznie. Krwi się wytoczyło kilka kropel i ta czarna była jak smoła.

Na razie zmięszała się szlachta, jeden Padyga przytomności nie stracił.

— Sprawiedliwe sądy Boże... Mości panowie, sam Najwyższy wyrok wydał na krzywdziciela sieroty... — rzekł poważnie. — Ano... skoroć przed trybunał Boski zapozwanym został, niechajże mu przebaczoną zostanie krzywda podczaszanki.

Kląkł przy ciele, przeżegnał się i w głos odmówił: »Ave Maria«. Za jego przykładem poszli inni.

— Co było i jakkolwiek... z serca przebaczam... Niespodzianieśmy z nim skończyli. Sprawiedliwości ludzkiej stało się zadość... Trza pomyśleć o należnym pogrzebie.

Złożywszy trupa na łożu, wyszli potem z komnaty w milczeniu, z minami kwaśnemi... Niespodziewany wypadek powarzył humory, nikt nie żałował starosty, lecz nagłe wrażenie sprowadziło nieprzyjemne uczucie.

— Kara Boża! — szeptano między sobą.

W komnacie jeno trup pozostał...

Po chwili z za szafy wysunął się Ożga, który się skrył przed Padygą, przeczuwając, że w razie gdyby go ten dostrzegł, z pewnością by na spytki wziął, jako wspólnika niecnej intrygi. Wyszedłszy z ukrycia stanął przed trupem i ręce załamał.

— Ktoby się był spodziewał? Kto? — szepnął, głową kiwając. Ot... igrał, igrał, aż wygrał...

Twarz trupa wstrętne sprawiała wrażenie... Obrzmiała.. sina... wykrzywiona... oczy na niej wytrzeszczone, mgłą zaszły, usta zwarły konwulsyjnie... nos wyciągnął.

Spojrzawszy na nią, zadrżał Ożga, wstrząsł i odwrócił się ze strachem.

— Na co mu przyszło? Na co? — mówił do siebie. — Gwałtem wojować mu się z Padygą zachciało... ha! ma za swoje... Znowu spojrzał w twarz trupa... nadstawił ucha, jak gdyby nie wierząc w śmierć swego pryncypała... dotknął ręką twarzy, natychmiast ją cofając.

— Skończyło się... fiat... Teraz, mości Ożga... niemasz czego w Stepanowie popasać. Nie zdrowo tu! Niezdrowo! Padyga gotów mnie pod sądy oddać... Nogi zapas i... gdzie oczy poniosą...

Westchnął, ku drzwiom się podkradł, a upewniwszy, że nikogo nie spotka, znikł poza niemi.

ZAKOŃCZENIE.

Rok niemal minął od wypadków opisanych... Przez czas ten już bardzo wiele się rzeczy zmieniło... W Stepanowie Padyga ład dawny zaprowadził, rozprzężenie, które podczas rządów starosty trwało, znikło... Stał się zacny pan Ignacy dla sieroty opiekunem pełnym poświęcenia, w czem mu pomagał Zbigniew, przez Anielę uproszony do objęcia w zarząd pobliskiego folwarku. Z początku Karski ofiarowanego zarządztwa przyjąć nie chciał, wzdragał się, ale Padyga potrafił go skłonić do zgody.

Nie tajnem dla czytelników jest, że oboje, jak Aniela tak Zbigniew, czuli wzajemne kochanie, wszakże starannie takowe chronili, acz ludzie, bystre wzroki posiadając, wkrótce dostrzegli co się święci. Szeptano pokątnie o niedalekiem weselisku... często żartobliwie nadmieniano o tem Karskiemu, co ten zbijał zawsze, powiadając, że ani myśli o maryażu, chudym będąc pachołkiem.

Razu pewnego, było to w niedzielę, zjechał Karski do Stepanowa wcześniej, niż zwykle, zamknął się z Padygą i z nim długą jakowąś prowadził konferencyę, poczem obadwaj do Anieli się udali. Tegoż dnia wieczorem obchodzono uroczyste zrękowinny panny podczaszanki ze Zbigniewem, w małem kółku

bliższych znajomych, a w miesiąc przed kościółek Stepanowski zjeżdżały się kolasy, spieszył tłum różnorodny, aby być świadkiem obrządku zaślubin młodej pary...

Zjawili się wreszcie nowożeńcy... Obrzęd ślubny odbył się z należytą powagą i wystawą... Młodzi wstali od ołtarza i wyszli z kościółka.

Zabrzmiały okrzyki z piersi zgromadzonych, wszyscy nowożeńcom szczęścia życzyli, każdy spieszył wynurzyć uczucia, jakie go przejmowały na widok dobranej pary.

Rozpromieniony, rozradowany Zbigniew podał rękę Anieli, siadającej do kolasy.

W zamku odbyło się huczne weselisko trzydniowe, a potem goście rozjechali się i życie młodym popłynęło, jak zwyle bywa, gdy ludzie dobrzy się kochają, czasem dobrze, czasem gorzej, ale zawsze bogobojnie.

Przygody »Czarnego Roku« opowiadali sobie czasem, bez boleści, gdyż chociaż był ciężki, on to przecież ich połączył.

KONIEC.



Majowy wieczór.

Świat zasypia otulony
W srebrną rosę, zieleń bzów;
Kwiaty chylą swe korony,
W górze błyszczą gwiazd miliony...
Oto chwila marzeń znów.

Coś od domu mnie odtrąca
I prowadzi w cichy gaj,
Gdzie tarnina kwitnie drżąca
I czeremcha woniejąca,
Gdzie się wdzięczy do mnie maj.

Drżącym głosem i nieśmiało
Słowik piosnkę swą szle w świat...
Wiatr potrząsa gruszą białą;
Coś w gęstwinie zaszumiało
I opada śnieżny kwiat.

W dali słychać szelest młyna
Szemrze falą srebrny zdrój,
O czem marzy ma dziewczyna,
Czy o słowach mych wspomina,
Że nam życiem praca, znój.

Biedroń Władysław.



Z TYGODNIA.

Ś. p. ks. Antoni Dobrzański. Z Myślenic donoszą nam: Nie ochłonęliśmy jeszcze po śmierci wikarego ks. Majchrowicza, a już w dniu 21 maja podczas majowego nabożeństwa dzwony oznajmiły pobożnemu ludowi, że zakończył życie główny tego kościoła pasterz ks. Antoni Dobrzański, proboszcz, przebywający tu na stanowisku od lat 30. Był to kapłan bardzo zasłużony i powszechną otaczany czcią, to też pogrzeb, który się odbył dnia 22 maja przy udziale 27 księży, licznego obywatelstwa i tysięcy ludu, był wyrazem serdecznego żalu i głębokiej żałoby, w jaką pogrążył naszą parafię zgon tego przezacnego pasterza.

Reforma administracyi. Stosunki kulturalne, gospodarcze i oświatowe rozwijają się w naszem państwie coraz bardziej, tak że władze administracyjne tj. rząd nie może ich potrzebom podołać i domagają się reformy t. j. zmiany na lepsze. Obecnie cesarz ustanowił osobną komisyę, która ma się zająć reformą administracyi. Rzecz to bardzo trudna i aby coś módz zdziałać, trzeba na to mieć wiele talentu, nauki i poświęcić wiele trudu.

To też do tej komisyi cesarz powołał najdzielniejszych uczonych z całego państwa. Są to po większej części najtężsi profesorowie uniwersytetu i byli ministrowie, z temi sprawami już obeznani. Z Polaków zaszczyt brania udziału w tej komisyi spotkał profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Dra Władysława Leopolda Jaworskiego, który jest już posłem na Sejm krajowy i tam się już bardzo zasłużył a obecnie na posła do parlamentu kandyduje z okręgu miejskiego 24 Jasło, Biecz itd. Dalej z Polaków powołani są: były minister skarbu i także kandydat na posła z okręgu miejskiego 21, Dr. Biliński, oraz wicemarszałek Sejmu galicyjskiego Dr. Tadeusz Pilat. Komisya ta ma trwać 3 lata.

Powstanie w Marokku trwa w dalszym ciągu i niepokoi państwa. Francuzi pobili zbuntowane szczepy i przed kilku dniami wojsko ich wkroczyło do stołecznego miasta Fezu, gdzie mieszka wielu Europejczyków, o których życie się obawiano w razie zdobycia miasta przez powstańców. Ponieważ powstańcy byli dość silni i walka z nimi byłaby trudną i krwawą, głównodowodzący wojskiem francuskiem, Moinier, zaczął z nimi konferować i nie omieszkał przytem podjudzać jeden szczep przeciw drugiemu. I rzeczywiście udało mu się wywołać rozdwojenie między szczepami, które mimo że dotąd szły ze sobą w zgodzie, teraz się nienawidzą. Wobec tego tem łatwiej będzie Francuzom pobić powaśnione szczepy i zaprowadzić spokój. Takie podburzanie jednego przeciw drugim praktykują państwa europejskie często, szczególnie między niecywilizowanemi narodami. Tak n. p. Anglia, dzięki takiej polityce, panuje nad setkami milionów ludności w Indyach i Australii. W ostatniej chwili donoszą, że w Marokku koło miejscowości Rabat przyszło do gwałtownej walki, w której zarówno Francuzi, jak marokańscy powstańcy ponieśli wielkie straty.

„Czarna śmierć“ w Mandżuryi. Gazety rosyjskie donoszą, że osoby przybywające z Mandżuryi do Petersburga zapewniają, że dżuma tam ustała zupełnie. Od czasu śmierci ostatniego zadżumionego nie pozostało nic zgoła, coby przypominało straszną epidemię, która pochłonęła około 100.000 ofiar. Nowych wypadków dżumy nie potwierdził dotąd ani jeden fakt. Niektóre okoliczności, które towarzyszyły epidemii i są obecnie wyjaśniane, zdają się przemawiać, że miano do czynienia z jakąś nową odmianą dżumy.

KRONIKA.

W numerze dzisiejszym kończymy drukować powieść „Czarny Rok“ i zamiast dwóch powieści, w następnych paru numerach dawać będziemy więcej powieści „U stóp Zbawiciela“, aby i ją także ukończyć w bieżącem półroczu.

W ten sposób z pierwszym numerem lipca rozpocząć będziemy mogli druk aż dwóch nowych powieści naraz, a mianowicie:

Rozbójnicze gniazdo

Zaciekawiająca na każdej stronie opowieść historyczna z czasów króla Jana III Sobieskiego o niezwykłych przygodach dwóch zacnych kobiet szlacheckich i wiernego im młodego rycerza, którzy dostali się w niebezpieczne okolice, na kresach Polski, w Karpatach.

Rubin wezyrski

Powieść zasłużonego, sędziwego pisarza polskiego, mająca za treść kradzież klejnotu rodzinnego w dworze polskim. Rzecz dzieje się przed powstaniem w 1830 - 1831 roku. Do każdego numeru damy piękny obrazek do tej powieści, umyślnie dla „Roli“ rysowany.

(R. A.) **Misye św. w Pleśnej,** w powiecie tarnowskim, odbyły się w czasie od 12 do 20 maja b. r. za staraniem Przew. ks. proboszcza Wojciecha Łutki z Pleśnej, dla siedmiu gmin swej parafii, pod przewodnictwem OO. Redemptorystów z Tuchowa. OO. ci wygłaszali bardzo doniosłe kazania, to też wielu się nawróciło, szczególniej nałogowych pijaków. Przy końcu Misyi odbyła się niezwykła uroczystość poświęcenia obrazu Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, który sprowadził z Rzymu ks. Proboszcz. Procesya wyruszyła po obraz na plebanię, gdzie jeden z OO. wygłosił kazanie o dobroci Najświętszej Maryi Panny i Jej łaskach, które otrzymuje lud. Po kazaniu przeniesiono obraz do kościoła i umieszczono w bocznym ołtarzu, poczem wszystek lud został oddany w Jej opiekę. Za urządzenie nam tej wspaniałej uczty duchowej niech będą dzięki Bogu i Matce Najświętszej oraz Przew. ks. Proboszczowi i ks. Wikaremu Wojciechowi Jachno, iż tak gorliwie pracują nad zbawieniem swoich owieczek.

Czytelnia TSL. w Rybotyczach. W r. 1906 założyło T. S. L. z Dobromila Czytelnię w Rybotyczach, lecz ta z braku odpowiedniego lokalu i ludzi takich, którzyby się nią gorliwie zajęli, nie dawała nawet znaku istnienia. Dopiero w roku 1910, za staniem miejscowego nauczyciela p. B., wynajęto lokal na Czytelnię, sprawiono do niej potrzebne sprzęty a dzięki ofiarności niektórych osób powiększono zapas książkowy, oraz zaprenumerowano kilka tygodników. Członkowie zaś widząc się w tak szczęśliwem położeniu, że mogą zbierać się swobodnie w tem jedynem ognisku oświatowem na pogadanki i czytanie budujących rozpraw, nie mieli słów na wyrażenie swej radości, gdyż Czytelnię uważaliśmy za jedną rodzinę a dewizą naszą była idea, zawarta w następujących słowach A. Mickiewicza:

»Hej! ramię do ramienia! wspólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...«

Żywy ruch panował zawsze, kiedy tylko z okazyi wolnych chwil zebrali się wszyscy w Czytelni. Widzieliśmy, że utrzymanie Czytelni pociąga za sobą pewne koszta, dlatego też zobowiązaliśmy się do płacenia miesięcznej wkładki 20 h. na rzecz Czytelni i uznaliśmy, że taką kwotę i najuboższy »pro publico bono« złożyć może. Lecz czy długo to trwało? Trwało tak dopóty, dopóki złe robaki nie zaczęły toczyć tkaniny, którą przędliśmy przez pół roku. — Między członkami Czytelni wyłoniły się jednostki, które, jak przedtem nie miały słów na wyrażenie podziwu, że w naszej Czytelni takie życie panuje, tak teraz, powodując się osobistemi urazami, zaczęły jątrzyć i podburzać nas przeciw Czytelni i naszemu Duszpasterzowi. Zyskali wielu zwolenników, usunęli się z Czytelni, pozostawiając po sobie brudne czyny. My zaś przyszliśmy do przekonania, że jednostka wyzuta z poczucia obowiązku nic dobrego zdziałać nie jest w stanie.

Pozostało nas kilku wiernych Czytelni, która zawsze głosi nam święte »Przykazanie narodowe« i nic nas od niej oderwać nie potrafi. Gdybyśmy zaś wichrzenia jakie znowu posłyszeli, nie omieszkamy nazwiska tych podać w gazetach, ażeby cały świat polski przekonał się, jakich ma ludzi w swojem społeczeństwie.

Przykro nam bardzo, że o braciach naszych Polakach tak się wyrażać musimy, lecz kto nie dochowuje przykazań narodowych i rozwojowi Czytelni przeszkadza, nie jest godny nazwy Polaka.

Wkońcu nadmieniamy, że w miasteczku naszem na ogół ludności jest zaledwie czwarta część ludności polskiej i ci jeszcze nie widzą potrzeby łączenia się w Czytelni.

Członkowie Czytelni z Rybotycz.

Wieczorek w Niebylcu. Dnia 14 i 21 maja b. r. w szkole w Niebylcu pod kierownictwem nauczyciela Teofila Tryczyńskiego, odbył się uroczysty Wieczorek, w którego program weszły pieśni patryotyczne na chór mieszany i sztuczka jednoaktowa Anczyca »Chłopi arystokraci«. Młodociani amatorzy miejscowi wywiązali się ze swych ról poprawnie, a całość wypadła doskonale. Znakomitymi byli pp.: Potemski jako Szczepanek, Górnicka jako Katarzyna i Górnicki jako Mosiek. Również dobrze odpowiedzieli zadaniu pp.: Lasota jako Stanisław, Wróbel jako Wojciech, Wróblówna jako Marytia, Gołdówna jako Jędrzejowa, Mazur jako feldwebel i Szelewa jako Marcinek. Kaskady śmiechu wywołał mały Kuśtek jako Szmil. Licznie zebrana publiczność ubawiła się znakomicie, a czysty dochód w kwocie 13 kor. obrócono na odnowienie statuy świętego Floryana Rynku Niebyleckim.

Beczka w walce wyborczej. Gazety wiedeńskie, w znacznej większości pozostające w rękach żydowskich, ustawicznie są przepełniane kłamliwemi a złośliwemi napaściami na nasz kraj. Czytelnicy łatwowierni wyobrażają sobie zapewne Galicyę jako dziwowisko, gdzie wszystko, co najgorsze, jest na porządku dziennym. I obecny ruch przedwyborczy posłużył pewnej obrazkowej gazecie wiedeńskiej do następującej złośliwej, a niedorzecznej historyi, której warto posłuchać:

»W okręgu gmin wiejskich Maków-Żywiec Jordanów odbyło się rzekomo zgromadzenie wyborcze. Stanął na niem jako kandydat, przeciw któremu wystąpiła ogromna większość wyborców. Nie zadowolili się tem — pisze gazeta wiedeńska — jak to robią dobrze wychowani wyborcy, aby niemiłego kandydata wyrzucić z lokalu zgromadzenia, użyli bowiem osobliwej metody, aby wydalić kandydata. Starano się najpierw przez mowy wpoić w niego przekonanie, że nie przywiązuje się żadnej wagi do jego obecności, z potem sprowadzono pustą beczkę ze spirytusu do lokalu zgromadzenia, wpakowano czcigodnego kandydata, mimo jego protestów, do niej

i wytoczono beczkę z lokalu. Po jakich dwudziestu obrotach dojrzało w kandydacie postanowienie zrezygnowania z mowy kandydackiej i użył pierwszego zatrzymania się becki do opuszczenia »toczącego się lokalu zgromadzeniowego« i wydalenia się z miejsca, gdzie beczek używa się jako środka komunikacyjnego dla niemiłych kandydatów. Nie zdziwiłoby nas, gdybyśmy tego roku w Wiedniu cieszyli się nową zabawką pod nazwą »Beczka kandydacka«.

Cała historya z ową beczką jest wierutnem kłamstwem od początku do końca. Tutaj w kraju pierwsi byśmy przecież o tem wiedzieli, a tymczasem z pomienionego okręgu nikt do naszych pism o niczem podobnem nie doniósł. Złośliwy gazeciarz wiedeński dodał do tego artykułu jeszcze dwa obrazki: jeden przedstawiający wtłaczanie kandydata do beczki, drugi zaś wyobrażający kandydata, jak gramoli się z niej na gościńcu. Tego oszczercę, co to napisał, wartoby do takiej beczki wsadzić i puścić z jakiego bystrego pagórka. Gdyby się wytrząsł w niej porządnie odniechciałoby mu się wypisywać głupich bajek na polskich wyborców włościańskich, którzy przy obecnych wyborach swoj obowiązek obywatelski z pewnością spełnią spokojnie i z godnością.

Zima w maju. Z limanowskiego donoszą nam: Niezwykłymi kaprysami odznacza się tegoroczna wiosna. Maj od początku był ciepły, piękny, słoneczny, deszczu ani na lekarstwo, rolnicy więc czekali go z upragnieniem. I doczekali się wreszcie, ale z niebywałem na wiosnę zimnem i mrozem. Między 19 a 26 maja mieliśmy tu rzecz nadzwyczajną o tej porze, bo śnieg i mróz. Niezwykle wygląda srebrzysty śnieg przy młodej i bujnej zieleni drzew, a kiedy szare strzępy chmur odsłonią góry, w chwilowym blasku słońca odcinają się ostro szczyty, pokryte grubą warstwą śniegu, a nawet widzi się drzewa omrożone i białe od szronu. Biedna ludność ponosi jeszcze jedną klęskę, gdyż kapusty i wogóle jarzyny wymarzły, zawiązki owoców poopadały z drzew.

(J. K.) **Burze, grady i śniegi.** Ze Szczyrku, w bialskim piszą nam: Dnia 18-go maja wieczór zaczęło się niebo chmurzyć i ogromna nawałnica z piorunami, zaczęła szaleć nad naszemi siołami. Grad i deszcz w kilku sekundach spadł tak wielki, że wszystko woda przylała. Ponieważ jesteśmy w okolicy górzystej, więc woda wezbrała i rozerwała zagony zboża, wybijała dziury, biorąc ze sobą ziemię, a miejsca te przykrywając żwirem i kamieniami. Gospodarze przeto w tem miejscu mają znaczne straty. Następnych dni t. j. 19 i 20 maja zaczął deszcz lać, przez co wezbrała znacznie nasza rzeka Żyglica i zaczęła grozić wylewem. W nocy z 20 na 21 maja ustał deszcz, a zaczął śnieg sypać. Rozpoczęło się zimno ogromne, że sople marzły od strzech, woda zamarzła, trawa zmarzła. Buczyna po groniach, która już była wszystka rozwinięta, zmarzła. Miejscowości nasze Szczyrk i inne przybrały szatę białą, a teraz czerwoną. Aż strach bierze, bo i śnieżyca pruszy dalej.

(T. W.) Z Cichego, w powiecie nowotarskim, otrzymujemy równocześnie podobną wiadomość o majowym śniegu, a mianowicie: Śnieg padał w maju w powiecie nowotarskim w Tatrach i na nizinach, we wsiach odległych 2 mile drogi od Tatr w nocy z dnia 20 na 21 maja i trwał kilka godzin na nizinach, a w Tatrach trwał kilka dni. Przyjście tego śniegu poprzedzały liczne burze, deszcze z piorunami i grady, które się pojawiały przez 3 dni przed przyjściem śniegu. Czas był bardzo zimny.

Piorun w cerkwi. W gminie Strzeliska Nowe, koło Bóbrki o godzinie 8 wieczorem wpadł do cerkwi w czasie nabożeństwa majowego piorun, przez wybitą szybę w oknie, poczem wyleciał drzwiami, właśnie w tej chwili otwartemi, zabijając jednego człowieka, oraz rażąc dziesięć osób ciężko, a kilkanaście lekko. Ciężko porażeni pozbawieni przytomności, ocalenie swoje od śmierci zawdzięczają jedynie szybkiej i umiejętnej pomocy, jakiej im udzielił miejscowy lekarz okręgowy, Dr Bronisław Chwistek.

(T. W.) **Pożar we wsi Dzianisz,** miejscowości za Borkami, w powiecie nowotarskim. W tych dniach spalił się jeden dom, stajnia, stodoła i zabudowania gospodarcze doszczętnie, bo w tem miejscu jest brak wody. Pożar powstał o godz. 10 rano. Powód pożaru był taki, że tam na strychu była słoma i ogień jakimś sposobem się dostał tam i buchnął pożar. Dom ten był nowy, piękny i drogi. Przez lato przebywali w nim goście. Szkoda wynosi od 5 do 6 tysięcy koron, która nie była ubezpieczona.

Cudowne ocalenie dziecka. W pewnem niemieckiem miasteczku żona rzemieślnika wyszła z mieszkania, zostawiając w niem samą jedną czteroletnią Maniusię. Dziewczątko bawiło się lalką, potem wózeczkiem, ale nudno jej było w samotności. Przez okno słoneczko świeciło wesoło, przystawiła więc sobie stołeczek do okna, otwarła je i wyglądała na ulicę. Było już południe, ruch się na ulicy zrobił większy, bo dużo chłopców i dziewcząt wyszło ze szkoły, Maniusia tem się bardzo zajęła i w pewnej chwili wychyliła się nieostrożnie z okna, aby jakąś przechodzącą dziewczynkę lepiej zobaczyć. Lecz, wychyliwszy się, straciła równowagę, w główce biedactwu się zawróciło — i już nie wiedziało, co się z nią dzieje.



W istocie spadała z okna pierwszego piętra na ulicę. Lecz widać Anioł Stróż czuwał nad dzieckiem, bo w tejże chwili właśnie przechodzący pod oknem trzynastoletni student spojrzał w górę i zrozumiawszy niebezpieczeństwo dziecka, rzucił książki i wyciągnął ramiona. Maniusia padła w nie z impetem, chłopiec pod tym ciężarem zachwiał się i runął na chodnik, ale skończyło się tylko na lekkiem potłuczeniu i studenta i dziewczynki, która żyje dalej zdrowa. — Młody wybawca zasypywany objawami wdzięczności przez rodziców uratowanej dzieciny, przychodzi teraz często do nich i poprzyjaźnił się z malutką, która twierdzi, że »ożeni się z panem studentem, kiedy Bozia tak sprawiła, że złapał ją sobie, jak jabłuszko, które z drzewa spada«. Student znów przekomarza się z nią, że za młoda na jego żonę i mogłaby być chyba jego córeczką. Obrazek nasz przedstawia, jak dzielny chłopiec nadstawia ręce, by pochwycić spadające dziecko.

(A. Z.) **Śmierć chłopca w nurtach wody.** Dnia 21 maja poszedł dziewięcioletni chłopiec imieniem Ludwik Ziobro do rzeki, stanął na kładce nad rzeką Stobnicą, wpadł do wody i utonął. Ponieważ

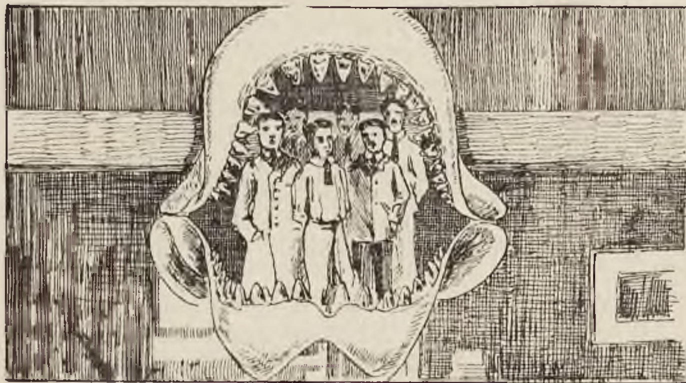
woda wtenczas przybrała, więc niemożliwem go było wyratować i do dziś dnia go nie odnaleziono. Rozpacz ojca i matki nie do opisania.

(F. K.) **Morderstwo przez pomyłkę!** Przed kilku dniami w nocy około g. 12 został na drodze przy gospodzie w Niemieckiej Lutyni, na Śląsku austryackim, graniczącej z Wierzniowcami, zamordowany biedny robotnik dworski. Morderstwo było o tyle ohydniejsze, że zabity zaraz po pierwszem uderzeniu zakończył życie, lecz morderca bił go jeszcze tak długo kołem, że zmiażdżył głowę, a zęby, szczęka i mózg rozprysnęły się dokoła. Nieboszczyk nazwiskiem Rubenek osierocił chorą żonę i czworo małych dzieci. Morderca złapany zaraz rano, przyznał się do zbrodni i jest nim Fr. Giecek, robotnik z Bogumina. Morderca zamiast upatrzonej ofiary, zaczaiwszy się za ogrodzeniem, przez pomyłkę zamordował innego. Jaki porządek w tej gospodzie panuje, widać z tego, że światło tam jest blisko całą noc, a w niej pełno niedorostków od 15 roku. Jednak trzeba powiedzieć, że rodzice i starsi byłego mordercy są ludźmi porządnymi i uczciwymi. A więc do czego to kieliszek i złe towarzystwo doprowadzi!

(F. K.) **Samobójstwo.** Z Polskiej Lutyni piszą nam: W nocy ze środy na czwartek 18 maja b. r. obwiesił się w lesie na dębie niejaki Sikora, górnik. Samobójca osierocił 6 dzieci i żonę bez wszelkich środków finansowych. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Zabity przez pieniądze. Wiadomo, że pieniądze niemądrze użyte nie przynoszą szczęścia. Nieraz człowiek bogaty, żyjąc hulaszczo, ginie przedwcześnie. Można więc w tym wypadku powiedzieć, że pieniądze go zabiły. Ale niedawno, na Śląsku, zdarzył się wypadek, że pewnego konduktora przy przerzucaniu worków z monetą kruszcową dla Banku państwowego, jeden z worków uderzył w brzuch tak silnie, że ten padł na ziemię i przeniesiony do szpitala zmarł tam nazajutrz. A więc i w ten sposób można być zabitym przez pieniądze!

W paszczy ryby przedpotopowej. Przed tysiącami lat inaczej ziemia nasza wyglądała, niżeli dzisiaj. Bujność i siła żywotna ziemi była olbrzymia, olbrzymie też wydawała zwierzęta, ryby, gady i rośliny. Dzisiaj z tych olbrzymich zwierząt dochowały się i żyją tylko słoń na lądzie, w morzu zaś ogromny wieloryb. Że wiemy o tem, jak wielkie były ongi, przed potopem, zwierzęta, zasługą jest uczonych przyrodników, którzy z kilku odkopanych kości lub kłów potrafią złożyć, narysować i podać wymiary wielkości takiego przedpotopowego potwora.



W wiedeńskiem muzeum przyrodniczem znajduje się sztucznie odtworzony szkielet ogromnego czworonoga, większego dwa razy od dzisiejszego słonia, który, jak wiadomo, jest tak duży, że człowiek siedzący mu na karku wydaje się małą figurką. Obecnie na jednej z wysp Karolińskich koło Australii znaleziono 200 potwornych zębów ryby przedpotopowej. Zęby te, jak rozpoznano z formy i rozmiarów, należały wszystkie do jednego zwierzęcia. Każdy z tych zębów dosięga długości 2 decymetrów. Uczonym udało się ustawić te zęby w takim porządku, jak tkwiły ongiś w paszczy potwora, a następnie dojść do tego, jak wyglądała sama paszcza i kadłub poczwary. Kadłub ten dosięgał przerażających rozmiarów trzydziestu metrów. Jak olbrzymią musiała być rozwarta paszcza tej ryby daje wyobrażenie nasz obrazek, przedstawiajacy w niej sześciu dorosłych ludzi.

Macoch w więzieniu. Jak donoszą z Warszawy, śledztwo sądowe w sprawie Damazego Macocha i towarzyszy, jest już przez prokuratoryę sądu okręgowego w Piotrkowie ukończone. Rozprawa sądowa odbędzie się dopiero w drugiej połowie września. Znamiennem jest, że cała trójka zbrodnicza, więc: Helena Macochowa, Izydor Starczewski i Damazy Macoch, otrzymała w więzieniu piotrkowskiem wyjątkowo uprzywilejowane stanowisko. Posiadają tedy najlepsze pokoje, własnym kosztem umeblowane. Usługują im inni więźniowie, pozwalają im przynosić obiady z pierwszorzędnej restauracyi, jak również sprowadzać wszelką prowizyę, nie wyłączając trunków. Zarząd więzienia tłomaczy im, że taki »przykaz« wyższej władzy! Zbrodniarze częstochowscy cieszą się taką łaską władz rosyjskich, jakby na urągowisko Polakom-katolikom, których oburzenie na zbezczeszczenie świętego miejsca niema granic.

Powaga rosyjskiego posła. Jak wiadomo w Rosyi jest obecnie nibyto konstytucya. Lecz to jest tylko konstytucya na papierze, bo rosyjski parlament (Duma) nic prawie nie znaczy. Rząd robi co chce, ustawy podpisane przez cara lekceważy, a w poszczególnych guberniach dzieje się tak, jąk chcą gubernatorowie, choć gwałcą ustawicznie najwyraźniej brzmiące ukazy carskie. Duma rosyjska, w przeważnej większości, oddana rządowi, jest wobec tego bezsilną. W Królestwie Polskiem po nadaniu tej niby konstytucyi dzieją się nadużycia, jak dawniej, a wszelka praca społeczeństwa w kierunku oświatowym czy społecznym jest stale przez zarządzenia rządu paraliżowana Dość przytoczyć zamknięcie »Macierzy szkolnej«, która utrzymywała z funduszów hojnie składanych przez naród, setki szkół polskich. Nie podobało się to rządowi, więc zarządził rozwiązanie »Macierzy szkolnej« i sprawa skończona. Powodów ważniejszych nie było; szkoły nie były przecież rewolucyjne, oświecały tylko młodzież w języku ojczystym i to chyba było ich winą. A cóż Duma, niby to wolne przedst»wicielstwo narodu, uczyniła wobec tego? Wysłuchała słusznych i uczciwych mów posłów polskich, protestujących przeciw temu bezprawiu i — na tem się skończyło. Wobec tego nie dziw, że posłowie do Dumy nie mają tego miru, co przedstawiciele ludu w innych państwach. A zwłaszcza urzędnicy i wojskowi nic sobie z nich nie robią, szczególnie w prywatnych stosunkach. Gazety podają właśnie wypadek, rzucający jaskrawe światło na powagę członków Dumy. Pewien pułkownik żandarmeryi w Petersburgu w kawiarni popchnął brutalnie posła Gegeczkoriego i groził mu aresztowaniem, a kiedy ten powiedział mu kim jest, pułkownik rzekł: »Ja pluję na członków Dumy«. Gegeczkori wysłał niezwłocznie telegram do prezesa Rady ministrów z opisem zajścia, ale nie na wiele się to przyda. Więcej niż pewna, że pułkownikowi nic się nie stanie, a poseł zadosyćuczynienia nie otrzyma. Jaka konstytucya, jakie znaczenie Dumy — taka i powaga jej posłów.

Płonący pociąg. Donoszą z Warszawy, że tymi dniami pociąg zdążający z Łowicza na linii kolejowej kaliskiej, podczas jazdy zaczął się palić. Przyczyną ognia było, że zapaliły się dwa odkryte wagony (na jakich np. przewozi się drzewo) naładowane wełną i korą korkową. Pomimo rozpoczętego po zatrzymaniu pociągu ratunku ogień, trawiąc materyał łatwopalny, rozszerzył się bardzo szybko; towary spłonęły niemal doszczętnie. Część szyn i podkładów, na których stały gorejące wagony, uległy zupełnemu zniszczeniu i po usunięciu zgliszcz trzeba było założyć nowe podkłady i szyny.

Nie chcieli iść pod karabin. W gminie Nagy-Romlos na Węgrzech, kilkunastu parobków, obawiających się służby wojskowej, utworzyło związek, którego celem było uchylenie się od powinności wojskowej. Środki użyte do tego celu, polegały na wyniszczeniu ciała do tego stopnia, by komisya żadnego z nich nie mogła uznać zdatnym do służby wojskowej. Przystępujący do związku młodzieniec, winien był pracować w polu bez wytchnienia przez cały dzień, nie biorąc pożywienia, następnie wszyscy zgromadzali się w odludnym domku, gdzie bawili się w szalony sposób, pijąc przytem na umór. Po takich nadużyciach, nie dziw, że wszyscy chudli i tracili siły tak szybko, że przy poborze wojskowym zazwyczaj wszystkich uznawano za niezdolnych do służby. Ale do czasu dzban wodę nosi. Władze wykryły niemądry związek, a lekarz wojskowy postanowił, że wszyscy z wyjątkiem czterech, kulawych, choć bardzo osłabieni i mizerni, jednak po paru tygodniach będą zdolni do wojska. Chociaż więc tak bardzo tego nie chcieli, dostaną się pod karabin i jeszcze będą karani za uchylanie się od powinności wojskowej.

Kawaler i panna w jednej osobie. W Budapeszcie przybył do pewnej wdowy, mającej pokój do odnajęcia młody człowiek, wynajął pokój i zameldował się jako Wiktor Regner. Po krótkiej chwili jednak, przebrany w suknie kobiece opuścił swój pokój i powiedział, iż udał się do hotelu, gdzie rzeczywiście zamówiony był telefonicznie numer dla jakiejś pani. Regner objął w posiadanie ów numer, zameldował się jako Anna Mayer, ale, że całe zachowanie jego »jako kobiety«, wydało się kelnerowi podejrzanem, więc zawiadomiono policyę. Dwaj agenci, przybyli do hotelu i przekonali się, iż rzekoma dama jest w rzeczywistości młodzieńcem. Wypytywany zeznawał różne bałamutne historye, z powodu czego aresztowano go jako podejrzanego. Wyjaśniło się w końcu, że urządził sobie poprostu figla, pragnąc zabawić się udawaniem kobiety, wplątał się jednak w sprawę z policyą, skutkiem czego, choć na niedługo, dostał się do kozy. Bo to nie uchodzi, być jednego dnia i panną i kawalerem w jednej osobie!

Ciemnota ludu na Węgrzech. W gminie Obezsa na Węgrzech, panuje od kilku miesięcy zaraza bydlęca. Zabobonna ludność, tamtejsza, wierzy, iż powodem nieszczęścia jest zmarły w ubiegłym roku gospodarz Kabris, który chodzi w postaci ducha po wioskach, zatruwa studnie i wywołuje zarazę u bydła. Przed kilku dniami udało się przeto na cmentarz grono wieśniaków, którzy odkopawszy zwłoki Kabrisa, poćwiartowali je na drobne kawałki i podzielili następnie między ludność. Każdy posiadający kawałeczek ciała czy kości z nieboszczyka jest przekonany, że do jego obory zaraza się nie dostanie; u kogo zaś zaraza panuje, ten jest pewien, że w krótkim czasie ustąpi! Taka to ciemnota panuje jeszcze w niektórych okolicach wśród ludu węgierskiego!

Cudem uratowany. Wzlatywanie w powietrze na maszynach do latania, pociągnęło za sobą już wiele ofiar w ludziach. Liczni lotnicy w różnych krajach, a w tem i dwóch Polaków, poniosło śmierć z powodu żeglugi powietrznej. Przyczyną katastrofy były albo silne wichry, albo zepsucie się maszyny w powietrzu. Ta spadała ze znacznej wysokości wraz z lotnikiem, który zazwyczaj ginął skutkiem strasznego upadku. W tych dniach w okolicach Wiednia zdarzyło się, że lotnik nazwiskiem Czermak, wzniósł się na wysokość 150 metrów, nagle latawiec w powietrzu się popsuł i tysiące widzów cierpnąc ze zgrozy, ujrzało, że nieszczęsny poczyna z szaloną szybkością spadać na ziemię. Widzowie byli przekonani, że Czermak zginie. Na wysokości kilku metrów latawiec przewrócił koziołka w powietrzu. Wynik tego był nadzwyczajny. Upadek został zupełnie osłabiony, rozpęd się zmniejszył, latawiec spadł skrzydłami tak szczęśliwie, że żeglarzowi powietrznemu nic się nie stało. Przyczyną katastrofy było pęknięcie śruby. Śmiało w tym wypadku powiedzieć można, że Czermak cudem tylko ocalał.

Zastrzelony wół. We Frankfurcie, w Niemczech, prowadzono młodego wołu do rzeźni. Zwierzę, czy się zlękło czegoś i spłoszyło, czy też przeczuwając śmierć, zaczęło się gwałtownie szarpać, wreszcie wyrwało się prowadzącemu przed samym budynkiem rzeźni i wpadło do otwartej bramy budynku, gdzie mieszczą się kancelarye rzeźni, wyszło na schody I piętra i zatrzymało się w sieni.



Dopędzili go tam ludzie i nie mogąc z powrotem sprowadzić ze schodów, postanowili go zastrzelić. Tak więc czworonogi skazaniec nie uszedł śmierci; spotkała go tylko śmierć szlachetniejsza od zarznięcia, bo zastrzelenie. Obrazki nasze przedstawiają ten niezwykły wypadek.

Fatalny los. W Kolonii, w Niemczech mieszka pewien kupiec, który od lat 48 trzymał jeden i ten sam numer loteryi pruskiej. Na los ten padła w tych dniach główna wygrana, w kwocie kilkudziesięciu tysięcy marek. Właściciel losu wszakże, zniecierpliwiony, iż przez pół-wieku prawie nic na niego nie wygrał, na tydzień przed ciągnieniem los sprzedał. Teraz rwie biedak włosy z rozpaczy, że, mając cierpliwość czekać przez 48 lat, zabrakło mu jej w ostatnich dniach i stracił tak pokaźny majątek!

70 lat małżeństwa. W Poczdamie, w Prusiech, żyje para małżeńska, Fryderyk Ferse, stolarz, z żoną Ludwiką od lat 70. Ferse liczy lat 98, małżonka jego zaś ma lat 91. W dzień 70-tej rocznicy małżeństwa grały mu przed domem dwie muzyki wojskowe; cesarz Wilhelm ofiarował mu swój portret, jeden zaś z książąt pruskich złożył życzenia staruszkom, otoczonym członkami rodziny, wśród których znajdowało się dwanaścioro prawnuków.

Po pogrzebie — wódka, a po wódce morderstwo. Dwóch braci, robotników w Berlinie, pochowało matkę. Po obrzędzie żałobnym urządzili sobie sutą stypę w restauracyi, gdzie spili się na umór. Gdy w nocy, zataczając się po ulicach, powrócili do domu, zresztą w najczulszej bratniej zgodzie, przed udaniem się na spoczynek ni stąd ni zowąd, powstała między braćmi sprzeczka, a następnie bójka, w ciągu której starszy zranił młodszego brata nożem, zadając mu dwa pchnięcia w szyję i pierś. Raniony runął na ziemię, winowajca wybiegł do sieni, wołając: »ratunku! zabiłem brata«, poczem zbiegł. Przebudzeni ze snu sąsiedzi, pospieszyli na pomoc i odstawili rannego w stanie beznadziejnym do lecznicy. Nożownika pochwycił pewien policyant, ponieważ zauważył na ubraniu jego krew. Przyczyny bójki wyjaśnić nie umiał, ponieważ znajdowali się w stanie zupełnego opicia.

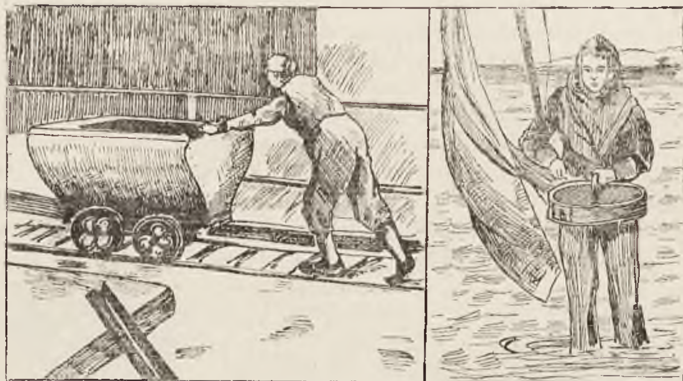
Śmierć od prądu elektrycznego. Jak każda siła natury, tak i elektryczność może być dobrodziejstwem, jeśli ją ludzki rozum opanuje, lecz może stać się przyczyną nieszczęścia, jeśli działa samowolnie, a człowiek nie umie się od złych jej skutków zabezpieczyć. Dzięki prądowi elektrycznemu mamy telegrafy, telefony, przy pomocy których można rozmawiać np. z Krakowa do Wiednia i prowadzący rozmowę doskonale się słyszą; mamy bardzo jasne światło elektryczne oraz koleje poruszane prądem elektrycznym. Ale prąd ten posiada też siłę niebezpieczną; gdyby człowiek chwycił się drutów kolejowych, na miejscu padłby trupem.



Podobny wypadek zdarzył się niedawno w pobliżu miasta Kilonii w Niemczech. Nawiedziła tę okolicę gwałtowna burza i obaliła przy drodze 4 słupy telegraficzne. Pracujący tam robotnicy polscy z Królestwa przechodzili właśnie obok powalonych słupów, przy których wiły się druty telegraficzne. Ujrzał ich w tem fatalnem miejscu przechodzący daleko człowiek i wołał, aby się nie zbliżali. Lecz oni wołania nie dosłyszeli, a nie rozumiejąc niebezpieczeństwa, 19-letnia dziewczyna, parobek i ojciec ich, przechodząc, obu rękami chwycili się drutów, by je z przed nóg usunąć — i na miejscu zginęli. Obrazek nasz przedstawia tę chwilę. Gdyby burza słup telegraficzny gdzie przewróciła i druty leżały obok, nie trzeba chwytać się ich a zwłaszcza dzieciom nie pozwalać zbliżać się do tego miejsca, bo to grozi śmiercią.

Uczczenie przemytnika. Pewien holenderski przemytnik, cygan, którego przed kilku dniami ujęto w Prusiech i zbiegł z więzienia, przyjęty został w rodzinnem gnieździe Niemwegen, w Holandyi z wielkiemi honorami. Wielki tłum, przybrany odświętnie, wprowadził go z chorągwiami i muzyką do miasta. Wśród okrzyków na jego cześć oprowadzano go po ulicach. Ludność cieszyła się niewymownie, że przemytnik wyprawił figla sądom pruskim.

Kobiety w spodniach. Wiele hałasu zrobiły teraz w całej Europie spodenki damskie, które usiłowali krawcy paryscy koniecznie przeforsować, jako najmodniejsze na wiosnę ubranie dla pań. Nie udała im się sztuka, spodenki się nie utrzymały, w miastach francuskich, niemieckich i naszych kobiety chodzić tak nie chcą. Te, które się pokazały na ulicach, były wszędzie przedmiotem szyderstw i obelg gawiedzi miejskiej — i spodnica jak była, tak będzie ubraniem kobiet. A jednak spodnie dla niewiast nie są rzeczą zupełnie nową; w wielu krajach kobiety je noszą.



Na dalekiej północy, gdzie ogromne mrozy panują, naród Eskimosów, bez różnicy płci, chodzi w futrzanych spodniach. Obrazki nasze zaś przedstawiają: jeden — robotnicę w Belgii w kopalni węgla pracującą przy taczkach, drugi — rybaczkę francuską, gdy chodzi przy brzegu morza po płytkiej wodzie, łowiąc jadalne skorupiaki morskie. Robotnice w Belgii od niepamiętnych czasów noszą spodnie, ponieważ przy ciężkiej pracy spodnica przeszkadzałaby im ustawicznie. Rybaczki francuskie również zawsze tego ubrania używały, jako wygodniejszego od spodnicy. U nas i w sąsiednich krajach niema zwyczaju i potrzeby używania tego stroju, więc kobiety go nosić nie będą — i historya skończona. A setki gazet niemieckich, francuskich, rosyjskich i innych niedawno jeszcze temu wypisywały niezliczone artykuły o spodniach kobiecych.

Salomonowy wyrok. O ciekawem rozstrzygnięciu pewnej sprawy przez burmistrza, jednego z mniejszych miast w Szwajcaryi, opowiadają tamtejsze gazety. Pewien rowerzysta (jadący na kole, czyli na rowerze), przejechał gęś, za którą właściciel żądał 6 koron odszkodowania, pozostawiając przejechaną gęś cykliście na własność. Rowerzysta z swojej strony ofiarowywał tylko 4 korony i zrzekał się wszelkich pretensyi do gęsi. Żadna ze stron ustąpić nie chciała, i dopiero burmistrzowi udało się rozstrzygnąć sprawę w sposób zadowalający wszystkich. Rowerzysta zapłacił 4 kor. właścicielowi przejechanej gęsi, który znowu burmistrzowi sprzedał gęś za 2 korony. Stało się więc, jak chciały obie strony: rowerzysta zapłacił tylko 4 kor., właściciel gęsi otrzymał żądane 6 kor., burmistrz zaś bardzo tanio przyszedł do posiadania gęsi.

Znieważenie grobów i wstrętna kradzież. W pewnem miasteczku w Hiszpanii wykryto wstrętne nadużycia, jakich się dopuszczał grabarz wraz ze swoją żoną. Oboje ci bezecni ludzie wyrzucili z trumien przeszło 4000 zwłok, aby sprzedać trumny. Na cmentarzu znaleziono tylko trzy trumny, gdyż złoczyńcy pozostawiali nieboszczyków zaledwie przez trzy dni po pogrzebie w trumnach, po upływie tego czasu zabierali trumny na sprzedaż, trupa zaś wrzucali do dołu. Oboje zbrodniarzy zaraz uwięziono

Okrutni marynarze. Na pewnym okręcie, zdążającym z południowej Ameryki do Europy, cała załoga, to jest marynarze i służba okrętowa dobrała się wypadkiem tak, że przedstawiała zastęp łotrów, z których każdy poprzednio za jakąś zbrodnię czy występek był już karany więzieniem. Wyjątek stanowił tylko pewien Włoch, nazwiskiem Russi, który nie miał kryminalnej przeszłości za sobą. Nie dziw, że koledzy go nie lubili i często mu dokuczali. Raz powstała między nim a dwoma marynarzami Niemcami sprzeczka, podczas której rozdrażniony Włoch, z natury już popędliwy, rzucił się z nożem na towarzyszy. Ale, rzecz prosta, ponieważ tamtych było więcej, obezwładnili go, związali, zbili i za karę wymyślili mu okrutną torturę. Mianowicie wtrącili go do ciemnej izdebki na spodzie okrętu, przywiązali mu ręce powrozami do haków u ściany, nogi skrępowali i trzymali tak nieszczęśliwego przez szereg dni, dając mu tylko raz na dzień skromne pożywienie. Dla większej męki nie uwalniali mu podczas jedzenia rąk, tak, że biedak musiał, podobnie jak zwierzę, jeść wprost ustami z talerza.



Kapitan okrętu, choć przełożony marynarzy, lecz bojąc się o swoje życie, którego niegodziwcy mogli go na pełnem morzu bezkarnie pozbawić, nie mógł nic w tym wypadku zdziałać. Na żądanie uwolnienia Russiego odpowiedzieli mu niegodziwcy, iż tego nie uczynią, gdyż Włoch jest niebezpieczny i z nożem powtórnie rzucałby się na nich. Namowom kapitana udało się wkońcu wyjednać dla dręczonego to, że przeniesiono go do innego miejsca, gdzie miał światło i powietrze. Tutaj jednak przywiązali go stojąco, tak że usiąść ani położyć się na noc nie mógł. Podczas karmienia znęcali się jeszcze nad nim, odsuwając od ust pożywienie, gdy wygłodniały chciał je pochwycić. Obawiając się, że może nagłem szarpnięciem uwolni się z więzów, karmiący dawał mu jeść z wymierzonym nań rewolwerem, jak to na naszym obrazku widać. Po kilku dniach i nocach takiej męki, biedny człowiek wpadł w obłęd, ryczał, wył, wykrzykiwał niedorzeczne wyrazy — i wówczas stał się naprawdę niebezpiecznym. Dopłynęli nakoniec do miasta portowego w Europie. Tam obłąkanego od katuszy uwolniono i odesłano go do szpitala a nieludzkich jego prześladowców uwięziono.

Związki „wielkich ludzi“. Ameryka ustawicznie zadziwia świat niezwykłymi pomysłami. Są tam, jak wiadomo, olbrzymie kamienice o kilkudziesięciu piętrach, wyższe od niektórych naszych wież kościelnych. Amerykanie wobec tego, uznali za właściwe, aby i oni sami, podobnie jak ich domy, byli wielkimi, wyższymi znacznie od ludzi zwykłego wzrostu w Europie. To też od pewnego czasu na całym obszarze Unii północno-amerykańskiej powstają stowarzyszenia i kluby »zwiększenia wzrostu«. Z początku tego rodzaju kluby tworzyli tylko mężczyźni, obecnie i kobiety poszły w ich ślady; w Nowym Jorku powstał klub kobiecy, którego jedynym celem jest właśnie »zwiększenie wzrostu«. Należące do klubu panie wykonują z zapałem najrozmaitsze ćwiczenia w tym celu i mierzą się ciągle. Podobno ostatnie pomiary wykazały, że dwie panie urosły aż na dwa milimetry, co wywołało ogólny podziw w klubie i dało powód do urządzenia wielkiej fety. Ale nie tylko zwykli śmiertelnicy dążą do zwiększenia swego wzrostu, kwestyą tą zajęli się również i uczeni amerykańscy, profesorowie różnych uniwersytetów. Jeden z nich, profesor uniwersytetu w Chicago oświadczył, że dzieci karmione potrawami surowemi wyrastają na olbrzymów. Niezwłocznie z iście amerykańską energią i szybkością powstał klub, którego członkowie obowiązują się nie jeść nic pieczonego ani gotowanego. Niech im wyjdzie na zdrowie, ale czy bardzo z tego urosną — wielkie pytanie!

Fabryka pieniędzy w więzieniu wojskowem. Czterej żołnierze, uwięzieni za przekroczenia służbowe w Algierze, w Afryce, znaleźli sobie ciekawą pracę w kaźni. Ni mniej ni więcej tylko urządzili sobie tam fabrykę pieniędzy! Dó wyrobu ich służyły im stare guziki mosiężne i cynowe od mundurów wojskowych. Formę do odlewania monet fałszerze urządzili z rozbitej butelki, a z dwóch starych pudełek od konserw i sprężyny z materaca — lampkę do topienia metalu oraz tygiel. Nieco gipsu i papier zżuty i zwilżony w ustach, służyły do wyrobu modeli. Pracy dokonywano w nocy w jednej z cel, w namiocie, urządzonym z materaców, aby dozorcy nie dojrzeli światła. Pewnej jednak nocy dozorca, zajrzawszy do celi, zastał fałszerzy przy robocie. Oddano ich pod sąd wojskowy, który ukarał ich bardzo surowo, bo skazał wszystkich na pięć lat więzienia.

Rozsadę kapusty otrzymywać mogą bezpłatnie rolnicy z małej lub średniej własności, którzy z powodu klęsk elementarnych, jak gradu i t. p. zmuszeni są na nowo rolę zorać i obsadzać, albo ci, którym rozsada niedopisała. Zgłaszać się należy pisemnie z dokładnem podaniem ilości kóp (pod adresem Kraków, ul. Pijarska L. 3, Dr Stanisław Goliński, krajowy instruktor ogrodnictwa). Zgłoszenia należy wnosić jak najrychlej, gdyż spóźnione podania nie będą uwzględnione, z powodu ściśle określonej ilości rozsady.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Paweł Sędor w K: Jeżeli jeszcze jeden numer zginie prosimy zareklamować (zawiadomić kartką korespondencyjną), a odniesiemy się do c. k. Dyrekcyi poczt we Lwowie. — Bobko Paweł w Ł.: Za zmianę adresu należy się 40 hal. — Kubala Jan w S.: Marki takie dla nas nie mają wartości. — Wojciech Węgliński: Nadesłane wierszyki miłe, ale jeszcze nie nadają się do druku. — Salomea Marszałkowa w K.: Za zmianę adresu należy się 40 h. — Władysław Koza w T.: Wysyłamy od 1 kwietnia, gdyż numerów z I. kwartału zabrakło. Prenumerata zapłacona więc do 1 kwietnia 1912 r. — Ks. Józef Welc w G.: Rocznik oprawny z 1910 r. wysłaliśmy według polecenia pod podanym adresem. — Kołek Wojciech w P.: Wysyłamy i dziękujemy za jednanie prenumeratorów. — Jantek z Bugaja: Otrzymaliśmy i wysyłamy — serdeczne dzięki— Tomasz Kucharczyk w Ch.: Za numera wysyłane na okaz nic się nie należy — przecież wyraźnie napisane »Okazowe bezpłatnie«. — Jan Fitrzyk w R.: Za zmianę adresu należy się 40 h. — Jan Wilk w Z.: Słusznie macie, poco głosować na takiego krętacza, kiedy kandyduje też człowiek zacny. — Kazimierz Wyka w K.: Umyślnie staramy się zacząć nowe powieści od 1 lipca, aby nowi prenumeratorzy mogli z całej »Roli« korzystać. Zaczynamy więc dwie piękne powieści; z których jedna będzie z obrazkami. Po otrzymaniu prenumeraty »Rolę« będziemy wysyłać. — Kazimierz Kos w L.: »Rola« z drugiego półrocza będzie stanowiła zupełną całość. — Jan Myszal w M.: Wiadomej sprawy pilnujemy gorliwie, gdy tylko uzyskamy pomyślny rezultat, zawiadomimy Pana natychmiast. — Wojciech Ozga w R.: Na zapytanie: »Jak wypadną obecne wybory?« — trudno coś stanowczego odpowiedzieć. Sądzimy jednak, że wyborcy nabrali już

smutnego doświadczenia i nie będą głosowali na różnych krzykaczy, ale oddadzą swe głosy ludziom rozumnym, uczciwym i takim, którzy rzeczywiście coś dobrego zrobić będą mogli. — Jan Flis w R.: Maciek Bzdura, skończywszy już z kandydowaniem, przygotowuje na drugie półrocze wiele śmiesznych opowiadań, ale kto je chce czytać musi z góry przysłać dwie korony na pół roku. — Józef Tomczyk w Ameryce. Dziękujemy za obietnice — numera na okaz wysłaliśmy. — St. Motyka w M.: Wiadomych powieści niema w wydaniu książkowem. — Piotr Lipowiak w L.: Żądane numera wysłaliśmy odwrotnie. — Franciszek Bieniak w K. G.: Wesołe opowiadanie starego ogrodnika otrzymaliśmy i chętnie zamieścimy. — Jędrzej Juszczyk w Szcz.: Wysyłamy na okaz po jednym numerze według podanych adresów. Dziękujemy. — E. Kopold w G.: Trudno poszczególnych kandydatów obszernie w »Roli« popierać; my dajemy ogólne rady, którymi się wyborcy powinni kierować. Kandydatura, o której Pan wspomina, jest nam bardzo sympatyczna i sądzimy, że wyborcy sami ją poprą. — Franciszek Turczyn w Ch.: Obecnie nie wiemy o jaką książkę Pan prosi, gdyż tamtą kartkę zniszczyliśmy. — Robert Rydz w T.: Dziękujemy serdecznie za ładne wierszyki, chociaż ten pt. »Dzięki Ci za Twe pieśni« drukowany w »Roli« nie będzie, gdyż po pierwsze: już zapóźno, a po drugie nasi czytelnicy mało znają owego autora — Jan Cetera w Ch.: Powinszować! Wierszyki wcale udatne i obydwa znajdą miejsce w »Roli«. Prosimy o więcej. — Franciszek Sojka w Z.: Szarada dobra. — Józef Więcek w S.: Żądany adres brzmi: Kraków, ul. Basztowa Nr. 7 »Wyzwolenie«. — Władysław Wołowicz z S.: Powiastkę otrzymaliśmy i umieścimy. — Wawrzyniec Pietrucha w Rz.: Wszystkie trzy wierszyki zupełnie dobre, więc będą drukowane. Od siebie składam serdeczne dzięki. — Jan Sieńczak w B.: Tylko cierpliwości, a wszystko będzie. — Jan Kuziara w Ż.: Ma Pan zupełną słuszność. Maciek należy do »stronnictwa uczciwych ludzi«. — Jan Bassara w Rz.: Rocznik oprawny z 1910 r. kosztuje 4 Kor. — po otrzymaniu pieniędzy wyślemy. — Wojciech Bajorek w G.: Cieszy nas, że »Rola« tak bardzo się podoba. Jeżeli Pan chce stale ją otrzymywać, to trzeba koniecznie przysłać prenumeratę, bo teraz tylko na okaz. — Teofil Tryczyński w N.: Wiersz p. t. »Marsz« będzie; »Modlitwa« ze względu na łacinę — nie. Za pozdrowienia dzięki! — Jan Gleń w Cz.: Maciek za uznanie serdecznie dziękuje. Franc. Szkatuła w D.: Wierszyk będziemy starali się wkrótce umieścić. — »Górnik«: Zagadki umieścimy. — Józef Kupuściński w L.: Odpowiemy listownie. — Franciszek Dułak w W.: Zmiana adresu kosztuje 40 hal. — prenumeratę otrzymaliśmy.

Potwierdzenia prenumeraty:

Piechota Stanisław z M. (3 K. 60 hal.), Terfecki Michał z N. W. (2 K. 50 h.), Koza Władysław z T. (4 K.), Byrski Ign. z K. (2 K.), Miśniak Walenty z P. (2 K.), Bik J. z P. (2 K.), Górka Józef z P. (2 K.), Mreńca Józef z P. (1 Kor.), Fryc Ignacy z T. (2 K.), Szipień Józef z D. (1 Kor.), Adam Piljhovjec z R. (2 K.); Jan Piękoś z S. (3 K. 20 hal.), Józef Śliwka z J. (2 Kor.), Jan Maryniak z C. (2 K.), Michał Rusek z I. (1 K. 20 hal.), Wojciech Zawada z T. N. (2 K. 40 hal.), Jan Moskwa z B. (1 Kor.), Leja Wojc. z Ł. (2 K.), M. Fijał z R. (2 K.), Duła Fr z W. (2·92 K.).

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Ułożył F. Kowalczyk z K.).

Wprzód czytane — słowo znane,
Każdemu w życiu nieraz dane,
I od Boga i od ludzi,
Otrzymywanie go nie znudzi.

Wspak zaś — to pierwszego skutek,
Nie może być z tego smutek.

2. MĘCZYGŁÓWKA.

(Ułożył Józef Waszek z J.).

Tnę ostro, co się nawinie.
Wszystko pada i ginie
I ludzkie główki
Zmiatam, jak makówki.
Lecz, gdy sama głowę stracę,
Nikogo nie zbogacę,
Mieniąc się w owad szkodliwy,
I zły, popędliwy.
Inaczj, gdy ogon postradam,
Wtenczas sobie radam,
Bo w tej zaraz dobie
Mile śpiewam sobie.

3. SZARADA.

(Ułożył Karol Baron z P.).

Pierwsze, coś niby ciepłe lub gorące,
Drugie-trzecie wzdychania i żale płaczące.
Wszystko zaś całą Austryę zdobi,
Bardzo dużo gada, ale mało robi.

4. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Andrzej Skomra z K.).

```
      *
      *
    . * .
    . * .
* * * * * * *
    . * .
    . * .
      *
      *
```

W miejsce kropek i gwiazdek powstawiać litery, które dadzą następujące znaczenie:

1. Zgłoska, 2. Wykonawca śmierci, 3. Imię męzkie, 4. Nazwa ptaszka śpiewającego, 5. Dopływ Dniestru, 6. Wyrób z mleka, 7. Zgłoska.

Litery środkowe czytane w kierunku poziomym i pionowym dadzą nazwę ptaszka śpiewającego.

5. PRZESTAWIANKA.

(Ułożył Karol Suchanek z W. G.).

Z niżej podanych wyrazów ułożyć inne, które dadzą nazwę uroczystości narodowej:

co, kij, meta, narcyz, gest, jota u.

6. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Krzanowski z J. P.).

Drugie z pierwszem jest to zwierzę podobne [do owcy,
Trzeciem czwartem bez »e« wziętem, mówią [do nas obcy,
Drugie z trzeciem połączone usłyszeć możecie,
Gdy kobiety jajka liczą przy sprzedaży w mieście,
Całość nazwie nam miejscowość z śliczną oko- [licą,
Mającą również kąpiele, gdzie się chorzy leczą.

7. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Piotr Gródek z B.).

Z poniżej wymienionych zgłosek ułożyć pewne zdanie:

I, u, o, na, ko, nie, go, roz, ce, wy, niu, lę, ku, wce, dzie, ry, braz, po, dnik, cze, ty, la ro.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy do wylosowania:

1) *Na zamku nasielskim.*
2) *W Krzemieńcu*

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 10 czerwca 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nr. 21 *Roli*: 1) Zagadka: **Słoma-masło,** 2. Dostawianka: **Bób, bóbr, Bobrka,** 3. Szarada: **Polityka,** 4. Szarada: **Jabłoń,** 5. Łamigłówka: **Tygodnik „Rola“,** 6. Drabinka: **Kandydat.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

Na podściel i na paszę, na różne wygody,
Służy słoma, zaś masło nie przyjmuje wody.
»Ja« mówię, gdy o sobie chcę coś powiedzieć,
Błoń zaś, gdy zakwitnie, wartoby odwiedzić;
Całość nasza jabłoń śliczna, ukochana,
Ja w jej cieniu siadam z *Rolą* codzień zrana
I szukam, czy wieść jaka świeża nie doniosła,
Z ilu głosami Maciek wystąpił na posła.
O, kiepski z ciebie, Maćku, jest kandydat
I z pewnością poselski ominie cię mandat!
Lecz poczekaj, Maćku, gdy wraz z Angielkami
I my walczyć będziemy o prawa kobiece,
A gdy zdobędziemy, wszystkiemi głosami
Ciebie posłem obierzem; — i gdy czytelnicy
Swoje głosy przyłączą, wtenczas zawołamy:
Niech żyje Maciek Bzdura poseł nad posłami!

Pelagia Rażna

Pierwsza ma zagadka,
Idzie mi jak z płatka:
Słoma na wszelkie wygody,
Zaś masło nie przyjmuje wody,
Druga szarada, to trudna rada,
Bo bób każdy z nas jada;
Bobra można znaleźć w lesie;
Bóbrka miasto znajduje się.
»Ja« o sobie powiadamy,
Błoń pokryta jest kwiatami,
Całość jabłoń w ogrodzie,
Miło odpocząć w jej chłodzie;
Tygodnik »Rolę« przeczytać,
I na posła kandydować.
Kończąc to rozwiązanie
Proszę o nagrodę, Redaktorze Panie...

Piotr Grudek z B.

Oprócz teg w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.:

J. Liskowicz z K., Samek W. z B., Z. Bogdański z J., K. Żyła z F., F. Teper z M. K., J. Hirszberg z K., E. Oczkowski z G., J. Bassara z Rz., R. Kula z M. K., A. Bezokówna z K. m., K. Baron z P., A. Żebrok z B., W. Szocik z D. m., A. Warchoł z Z., Z Oraczewska z Ż., F. Kuczek z M., P. Bielecki z D., Piotr Lipowiak z L., Jan Stanosz z Z., Franciszek Jurczyk z O., Stanisław Kumięga z T., Andrzej Skomra z K., M. Sliwiński z B.

Pierwszą nagrodę p. t. *W krainie czarów* wylosował p. **Jan Stanosz** z Z., zaś drugą p. t. *Giermek Zawiszy Czarnego* p. **Stanisław Kumięga** z T.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 30 maja:

Buhaje	Kor.	100	do	400	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	130	„	300	„
Jałówki	„	150	„	220	„
Cielęta	„	20	„	60	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	140	„	154	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 30 maja:

Pszenica	Kor.	11·76	do	12·35	za 50 kg.
Żyto	„	8.30	„	8·70	„
Jęczmień	„	7.60	„	8·40	„
Owies	„	8·75	„	9·25	„
Otręby pszenne	„	5·40	„	5·60	„
Otręby żytnie	„	5·15	„	5·25	„

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego

Nasze stronnictwa.

W obecnym ruchu wyborczym dają się powszechnie słyszeć zdania, że posłowie przez cztery lata swego posłowania bardzo mało co, a w każdym razie za mało dla kraju zrobili. I rzeczywiście zdania te są zupełnie słuszne. Ale nie wystarczy jednak samo stwierdzenie tego przykrego faktu, lecz trzeba szukać źródeł złego i starać się, aby mu zapobiedz.

Naszem zdaniem główny powód był w tem, że do parlamentu weszli w większej liczbie ludzie zupełnie do pracy ustawodawczej nieprzygotowani, a mogli wejść wskutek dopuszczenia do głosowania wszystkich, którzy się tyle na polityce rozumieją, co kura na pieprzu. Wybierano też na posłów po największej części nie tych, którzy na to zasługiwali swym rozumem i pracą, ale tych, którzy potrafiili najgłośniej krzyczeć i najwięcej obiecywać.

Drugim powodem złego było rozbicie się naszych posłów na kilka stronnictw, zwalczających się nawzajem i podstawiających sobie nogi na każdym kroku. Gdy na takie rzeczy poświęcali posłowie drogi czas, nie dziw, że lata mijały, a kraj nie odnosił żadnej korzyści.

Aby jednak być zupełnie sprawiedliwym, trzeba przyznać, że przecież od czasu do czasu padła i dla nas jakaś drobna strawa ze stołu rządowego. Zasługa w tem jednak tylko niektórych posłów, a byli nimi ci, którzy pojechali do parlamentu nie dla rozgłosu, nie dla marnej chwały, ale dla pracy rzeczywistej i wydatnej. O tych przez całe cztery lata najmniej się mówiło i obecnie może najmniej mówi.

Rozbicie się więc posłów na różne stronnictwa było może największą klęską dla naszego przedstawicielstwa we Wiedniu. Jak z jednej strony wielka ilość stronnictw tylko szkodę społeczeństwu przynosi, tak z drugiej strony brak zupełnie stronnictw i ścierań się wzajemnych, tylko szkodęby przynosił. Stronnictwa więc są potrzebne, ale te stronnictwa powinny różnić się tylko w środkach taktycznych, ale cel winny mieć wspólny t. j. dobro kraju i społeczeństwa.

I myliłby się ten, ktoby zarzucał któremuś z naszych stronictw politycznych w Kole polskiem, że tego celu przed sobą niema. Mają cel ten wspólny wszystkie stronnictwa, należące do Koła polskiego, a przecież nie wszystkie jednakowo zasługują na nasz poklask i na nasze poparcie. Zależy to od tego, kto kieruje stronnictwem i jakich to stronnictwo wysłało posłów ze swego łona.

Ponieważ przyszły skład Koła polskiego nie jest wiadomy, przeto przegląd stronnictw zrobimy podług danych, jakich nam one dostarczyły przez ubiegły okres czteroletni.

W rozwiązanej Radzie państwa posłowie polscy, należący do Koła polskiego dzielili się na 6 stronnictw, a mianowicie: 1) Ludowcy w liczbie 19 posłów; 2) Wszechpolacy 16 posłów; 3) Polscy demokraci 13 posłów; 4) Konserwatyści 8 posłów; 5) Centrum 6 posłów; 6) Stojałowczycy 5 posłów. Oprócz tego do żadnego z tych stronnictw nie należeli: p. Łazarski, prezes Koła i ks. Pastor, oraz ks. Szponder, wykluczony z Centrum za brzydkie sprawki z wychodźcami. Nie wliczamy tu także owego sławnego Paducha, reprezentanta powiatów kolbuszowskiego i rzeszowskiego, którego mimo energicznej obrony przez wszechpolaków i ks. Stojałowskiego wyrzucono z Koła polskiego za sprawki z koncesyami.

Chcąc zrobić przegląd stronnictw, zaczniemy od stronnictwa najliczniejszego w Kole polskiem t. j. od ludowców.

LUDOWCY

to stronnictwo młode i jeszcze niezbyt skrystalizowane. Ma ono wprawdzie za sobą lat parę życia, ale życie to spłynęło mu na nabieraniu sił, na wykłówaniu się na horyzont polityczny, na walkach opozycyjnych, wśród których żadne stronnictwo dobrze nie da się poznać. Dopiero przed czterema laty Polskie Stronnictwo Ludowe porosło w pierze i wprowadziło kilkunastu posłów do parlamentu. Po wzmożeniu się tego stronnictwa twierdzili jedni:

— Teraz dopiero dobrze będzie na świecie!

— Biada nam — powiadali inni.

Jak to było jednak do przewidzenia, ani nadzieje jednych, ani obawy drugich nie sprawdziły się.

Że stronnictwo ludowe posiada zalety, tego nikt niezaprzeczy. Stronnictwo to, idąc między lud, uczy go czuć się obywatelami kraju, zaprzęga jednostki do życia publicznego, słowem budzi ruch wśród szerokich mas włościańskich. Przywódcy tego stronnictwa na równi z innymi pragną zapewne wywalczyć dla kraju jaknajwięcej korzyści.

Do wad jednak stronnictwa zaliczyłbym jedną i to kardynalną wadę, za którą uważam rządy z dołu, a które najlepiej uwydatniają się podczas wyborów. Oto w jaki sposób zostają wybierani posłowie ludowcowi.

W danym okręgu wyborczym zaczyna kandydować kilku, a czasem i kilkunastu kandydatów, a z pośród nich dopiero mają być wybrani i zatwierdzeni rzeczywiści kandydaci na posłów przez Powiatowy komitet, a w końcu przez Zarząd Naczelny. Wskutek tego rozpoczynają się w tym okresie wyścigi językowe kandydatów, a który z nich najlepiej krzyczy i najwięcej obiecuje ten najprędzej dobiegnie do mety. Naczelny Zarząd, chcąc nie chcą, takiego wyścigowca zatwierdzić musi, choćby on był zupełną miernotą, byle posiadał ten warunek, że ludowcem być nieprzestanie. Wskutek tego dostają się do parlamentu ludzie, którzy zupełnie są tam bezużyteczni, a na tem cierpi społeczeństwo i stronnictwo samo.

Wprawdzie p. Stapiński, jako człowiek doświadczony, widzi zapewne ten błąd w swoich szeregach, bo, gdzie może, to ludzi odpowiedniejszych wysuwa na czele, ale waha się zaprowadzić gruntowną reformę.

To jest błąd wielki, przynoszący tak stronnictwu jak i społeczeństwu wiele szkody. Kandydaci na posłów powinni być wybierani przez Zarząd Stronnictwa, a ten zapewne wyszukałby zawsze ludzi mądrych, pracowitych i uczciwych, bo by sam brał za nich odpowiedzialność moralną.

Tak jak obecnie jest, jest źle i zdarzyć się bardzo łatwo może, iż przy obecnych wyborach dostaną się do parlamentu jednostki, które będą tam bezużyteczne.

WSZECHPOLACY.

Jak nie odważylibyśmy się posądzić żadnego ze stronnictw polskich o brak chęci służenia dobru społecznemu, tak samo nie możemy tego twierdzić i o wszechpolakach. Mają oni zapewne ten sam cel, wspólny wszystkim stronnictwom i do tego celu dążą. Na drodze stają im jednak dwie ważne przeszkody: pierwszą z nich jest, że kierownictwo swe

powierzyli w ręce człowieka o niepewnej przeszłości, do niedawna socyalisty, a drugą, że na posłów wysuwają ludzi, o których nic się więcej nie da przeważnie dobrego powiedzieć, jak to, że są ludźmi. Wszechpolacy wskutek wzniecenia waśni narodowych między Polakami a Rusinami, rozpoczęli wśród dwóch narodów tę walkę, przez którą padł ś. p. Andrzej hr. Potocki. Walka ta przyniosła i przynosi ogromne szkody dla kraju, i jeżeli zaniechaną nie będzie może poczynić ogromne spustoszenia.

A dobór posłów u wszechpolaków? Każde szanujące się stronnictwo stara się przedewszystkiem o to, aby zaciągnąć w swe szeregi jak najwięcej ludzi uczciwych i rozumnych, a pozbyć się wszelakich szumowin. Tymczasem wszechpolacy postępują wprost przeciwnie. Pod ich sztandarem kandydowali i zostali wybrani najrozumniejsi i najdzielniejsi posłowie wszechpolscy pp. German, Battaglia, ks. Kopyciński. Ale ponieważ ci posłowie przewyższali rozumem i uczciwością kierowników wszechpolskich, przeto poczęto pod nimi dołki kopać, aż ci wynieśli się z tak niesympatycznego towarzystwa. W ostatniej chwili uciekł od nich nawet żyd Dr. Gold, bo mu wstyd było w takim towarzystwie zostawać.

Ponieważ jednak siłę stronnictwa ocenia się zwykle ilością posłów, przeto wszechpolacy chcieli mieć jaknajwiększą liczbę tych posłów. Rozpuścili więc sieci na tych kandydatów, których stronnictwo ludowe nie chciało popierać, jako ludzi nieuzdolnionych do poselstwa. Tym sposobem złapali w swe szeregi trzech włościan Wiącka, Fidlera i Maślankę. Także Paduch, Stojałowski, Szajer, Fijak i Stohandel ścigani skargami sądowemi schronili się pod skrzydła wszechpolskie, a przewodnictwo nad nimi objął sławny Dr. Ptaś i powiedziano sobie: »Dobrze nam jest, albowiem jesteśmy w komplecie!«

POLSCY DEMOKRACI.

Cel stronnictwa jest ten sam, co wszystkich stronnictw, t. j. dobro kraju i społeczeństwa. Stronnictwo to, nie rozwinięte szerzej w kraju, skupia swą działalność w miastach, jako ludzie dzielni i wybitni, że wspomnę pp. Germana, Dulębę, Stwiertnię i t. p.

Jako główny zarzut stawiają im niektórzy to, że zbyt przymilają się żydom. Demokraci są stronnictwem mieszczańskiem, a zatem włościan mniej obchodzą.

KONSERWATYŚCI.

Wśród konserwatystów trzeba odróżnić dwie grupy, a mianowicie konserwatystów należących do Stronnictwa Prawicy Narodowej i tak zwanych Podolaków. Ci ostatni tworzą grupkę niewielką, która sympatyzuje z Wszechpolakami, choć ich przewyższa znacznie rozumem i uczciwością. Stronnictwo Prawicy Narodowej powstałe z Konserwatystów krakowskich jest, jako takie, stronnictwem jeszcze młodem. Zmieniwszy swą nazwę, wcieliło do programu nowe idee i dążenia. Z przeszłości postanowiło zachować, czyli zakonserwować (dlatego nazywa się konserwatywne), tylko to, co każdemu Polakowi jest miłem i drogiem t. j. miłość Ojczyzny i Boga, chęć do pracy dla kraju, społeczeństwa i narodu.

Na czele Stronnictwa Prawicy Narodowej stanęli ludzie najświatlejsi i najdzielniejsi, to też rozwija się ono nadzwyczaj pomyślnie i dalej rozwijać będzie. Przy wyborach wszelakich działa przeciwnie niż ludowcy. Gdy bowiem u ludowców rzędy idą z dołu, a przez to mandaty często dostają się w ręce ludzi nieodpowiednich, to w Stronnictwie Prawicy Narodowej dzieje się inaczej. Zarząd wykonawczy wyszukuje wśród członków swego stronnictwa ludzi najdzielniejszych i tym poleca kandydować. Wskutek tego jest ta pewność, że ktokolwiek wyjdzie przy urnie wyborczej w czasie wyborów z ramienia Prawicy Narodowej, będzie cennym nabytkiem dla Koła polskiego.

Jednakże i to stronnictwo nie jest bez wady. Wadą taką jest pewien brak zewnętrznej ruchliwości. Nie zwołuje ono zbyt licznie wieców, nie działa żywem słowem na ogół ludności, a to przynosi tak dla niego jak i dla społeczeństwa wielką szkodę.

CENTRUM I STOJAŁOWCZYCY.

Samo Centrum, jak błysło niespodzianie, tak i znikło bez śladu, nie pozostawiwszy po sobie ani złych ani dobrych wspomnień. Cześć jego pamięci, niech odpoczywa w spokoju. Inaczej rzecz ma się ze Stojałowczykami. Ci, widząc u siebie objawy uwiądu starczego, postanowili się odmłodzić i złączyli się na czas wyborów z Wszechpolakami. Wiedzą oni, że nigdy siły nie nabiorą, bo kto ma w sobie zarodki suchot, wcześniej czy później skończyć musi; chcą jednak, aby do nowego parlamentu wejść, choćby w liczbie trzech, a do tego ma im dopomódz spółka z Wszechpolakami. A owych trzech mężów to: Paduch kasyer, Szajer wiceprezes i Stojałowski prezes.

F R O N D A.

Przy każdych wyborach próbują się tworzyć nowe stronnictwa, to też i teraz kłuć się poczyna jakaś fronda ludowcowa pod wodzą Dąbskiego, która postanawia uderzyć w solidarność Koła polskiego i zniszczyć ją. Ale żywot jej, zdaje się, nie przetrwa dnia 13 czerwca, w którym to przypada św. Antoniego patrona wszelakich rzeczy zgubionych. W dniu tym i fronda zapewne zostanie do reszty zgubiona.

Listy od wyborców.

Czaniec dnia 21 maja 1911 r.

Mili Bracia! Czas już nadszedł, byśmy mieli takich posłów, których nie będziemy się potrzebowali wstydzić, jak dotychczas się wydarzyło. Znajdą się tacy, którzy zechcą i potrafią dopomódz nam w biedach naszych i coś dobrego dla nas uczynić. Dotychczas było tak, że kandydat dużo a dużo obiecywał, a nawet gruszki na wierzbie, a później się wykazało, że nawet na gruszy jego gruszki urość nie potrafiły i czem więcej obiecywał i bałamucił chłopów, tem był lepszy. Później z wiary wyborców tylko się wyśmiewał pocichu, zamiast czuć wdzięczność, żeśmy go posłem zrobili i chodził jakby jaki paw zroztoczonym ogonem, a każdy wyborca miał się mu kłaniać do samej ziemi, że ani z kijem do niego przystąpić.

Zdarza się sposobność wybierać w okręgu 36 (Biała, Kęty, Oświęcim, Andrychów) na posła, nie takiego kandydata, który na zgromadzeniu przedwyborczem wygłosił swą śliczną i długą mowę, która się udała należycie słuchaczom; nie obiecywał tyle a tyle, tylko jako dobry Polak i dobry chrześcianin katolik, będzie się starał prowadzić wszelkie sprawy sumiennie i sprawiedliwie według każdego stanu. Znano go już od szeregu lat, który pracuje niezmordowanie na polu rolnictwa i wiele

zasług poczynił, a to jest Adolf Poniński, dyrektor szkoły rolniczej, prezes Tow. rolniczego w Kobiernicach, który prawie w całym okręgu wyborczym jest bardzo dobrze znany. Na zgromadzeniu swoim przedstawił on, że podatków przez niego nie ubędzie, lecz jeszcze w górę pójdą, a to przeważnie na szkoły t. j. na oświatę, która jest koniecznie potrzebna. Dalej wydatki muszą być na 2-letnią służbę wojskową, która jest tak samo potrzebna. Dalej wspomniał nasz kandydat na niestosowne taryfy kolejowe, podnosząc, że w innych krajach są tańsze taryfy niżeli u nas, i to na wszelkie produkta. Dalej, podnosi, że nasz rolnik jest bardzo poszkodowany przez ustawę o zwalczaniu pryszczycy; wniesiono pod obrady parlamentu projekt Towarzystw rolniczych przeistoczenia tej ustawy, lecz się gdzieś projekt ten zarzucił. Żelazo jest bardzo drogie u nas, a w innych krajach jest znacznie tańsze, chociaż u nas rudy jest podostatkiem; robiący na drożyźnie dobry interes kartel żelaza, wykazał 25 prc. czystego zysku w r. 1910. Dalej jest konieczne jaknajszybsze regulowanie rzek górskich, które robią ogromne szkody. Rzekę Sołę regulują od lat około 20, a regulacya dopiero dotarła do Bielan. Dalej narzekał kandydat na szkoły dwutypowe, a to dla miast i wsi, zwracając uwagę, że koniecznie jest potrzeba także włościan lepiej kształcić, a nietylko mieszczan. Dalej obowiązkiem każdego posła jest schodzenie się z wyborcami i omawianie wszystkich spraw. Mandat to święty obowiązek, nie tylko honor. Przemówienie to przyjęto z zadowoleniem i zaczęła się dyskusya.

P. Kołek omawiał potrzebę kanału i streszczał potrzeby kanału i kolei. Dalej wzywał, żeby była zgoda i jedność, a wtenczas mogą posłowie przynieść pożytek, dalej żeby sprawy krajowe były oddzielone od spraw parlamentarnych, a były przydzielone sejmowi.

W. Wykręt popierał wybór p. Adolfa Ponińskiego, prosząc, żeby wybrany poseł popierał szkoły wszelkiego rodzaju, żeby nie utrudniano budowy szkół.

P. Kołek postawił wniosek o potrzebie geometrów do prowadzenia ksiąg gruntowych, a to przeważnie swoich ludzi nie zagranicznych tj. Niemców, Czechów i t. p. Zebranie zakończyło się zgodnie i poważnie. Przeto wybierajmy na posła pana Adolfa Ponińskiego, bo on jedynie nas może dobrze bronić.

Wincenty Dudek przewodniczący. ***Józef Gałuszka*** sekretarz.

Z Rabki.

Odbyło się tu w niedzielę dnia 12 b. m. zgromadzenie wyborcze, na które przybył niegdyś poseł p. Danielak z Krakowa. Ale nieposzczęściło mu się. I duchowieństwo i inteligencya wystąpiło przeciw jego kandydaturze. Z pewnością nie będzie już próbował szczęścia w naszym powiecie. Sympatyę u nas ma Cezar Haller, wł. Jurczyc, którego uważamy tutaj za jedynego poważnego kandydata na posła z naszych stron. Przykro nam było, że nie zjawił się tego dnia na wiecu, gdyż był właśnie w żywieckiem na zgromadzeniach wyborczych. Mojem zdaniem poseł powinien nietylko znać dolę wyborców, umieć dobrze po niemiecku, ale być przytem człowiekiem niezależnym majątkowo, dla któregoby dyety poselskie nie były zyskiem, bo sam może wydać więcej, i który na podstawie karyery robić niepotrzebuje, bo dzięki Bogu chleba ma dość u siebie w domu, w swoim majątku. Z takim — myślę sobie — więcej się też liczą w rządzie. Taki może być niewątpliwy i żądać śmiało, z podniesionem czołem, a nie prosić uniżenie, bo dla siebie osobiście tam w Wiedniu nic on dostać niepotrzebuje. Sądzę, że Czytelnicy to moje zdanie podzielają, bo dyktuje mi je zdrowy »chłopski rozum».

Adam Wajda.

Rajcza 15 maja.

Kochani Czytelnicy »Roli«! W naszym powiecie mamy jedynego kandydata-rolnika, którego chcemy poprowadzić na posła do Rady państwa, a tym kandydatem jest Cezar Haller. Moje przekonanie jest takie, że rolników zastępować tam w Wiedniu powinien rolnik. Jako chłop polski, najbardziejbym rad, byśmy chłopa wybrać mogli. Ale rozumiem z drugiej strony, że trzebaby na to chłopa bardzo wykształconego, doskonale mówiącego po niemiecku, aby go tam Niemcy i inne narodowości nie zjedli w kaszy. Gdy takiego niema, chociaż sam jestem chłopem, nie dałbym głosu nawet najserdeczniejszemu kumotrowi, jeśliby nie miał warunków na posła, to jest wysokiego wykształcenia. Z chęcią też głos dam rolnikowi nie chłopu, który rozum ma, sprawy nasze zna doskonale i obronić je w Wiedniu potrafi. Tego zdania był cały olbrzymi wiec przedwyborczy, odbyty w niedzielę dnia 14 b. m. pod gołem niebem w Rajczy. A ludu było na nim moc z Rajczy, Ujsoł, Soli i innych wsi. Przewodniczył mu ks. proboszcz Grudziński, a kandydował p. Haller. Po różnych zapytaniach do niego, stawianych przez wyborców, na które dał odpowiedzi świadczące, iż sprawy nasze zna i szczerze leżą mu na sercu, obwołany został z wielkim zapałem naszym kandydatem.

Maciej W. z Rajczy.

Z Sidziny.

W naszej wsi mieliśmy dnia 13 bm. zebranie, na którem przemawiał kandydat na posła p. Haller z Jurczyc. Przedstawiając przyszłą działalność parlamentarną, przyrzekał zajmować się sprawą regulacyi potoków górskich i dróg, wreszcie wspomniał o staraniach, jakie należy poczynić u władz krajowych o zapomogi na odbudowanie spalonych domostw przy niedawnym pożarze, jaki nawiedził Sidzinę. Sędzia Gabryel zaznaczył, że ze wszystkich kandydatur w tym okręgu na pierwszy plan wychodzi kandydatura p. Hallera, około którego skupia się zarówno inteligencya, jak włościaństwo. Znajomość spraw krajowych, spraw rolnictwa i potrzeb okręgu, czyni p. Hallera kandydatem ze wszechmiar pożądanym, dającym gwarancye skutecznej pracy w Wiedniu. Ks. proboszcz Hałaciński, w bardzo rozumnej i do przekonania trafiającej przemowie, wzywał obecnych, by poparli p. Hallera na posła. Uchwalono też tę kandaturę z ogromnym zapałem i jednomyślnie. *Z. R.*

Z Brzeskiego.

W dniu 24 maja odbyło się w Brzesku, w sali magistratu, bardzo liczne zebranie wyborców włościańskich. Było też wielu wyborców z miasta Brzeska. Wszyscy zgromadzili się celem wysłuchania mowy kandydackiej p. bar. Götza, który stanął przed wyborcami i przedstawił się jako kandydat świadomy obowiązków poselskich, oraz znający wybornie sprawy powiatu, potrzeby i żądania ludności

wiejskiej. Mowy jego słuchaliśmy nie tylko z ciekawością i zajęciem, ale i zaufaniem, wiedząc, że słowa p. Götza to nie plewa i pusta gadanina, lecz prawda, szczerość i uczciwość obywatela naprawdę zasłużonego dla powiatu. Na rezolucyę sędziego Zdankiewicza, aby zebrani starali z wszelkich sił kandydaturę tę poprzeć — ozwały się huczne oklaski na dowód, że wyborcy goraco pragną tego kandydata na swego posła. Wogóle o ile słychać, w całym okręgu wyborczym zebrania przedwyborcze p. bar. Götrza, odbywają się poważnie przy licznym udziale włościan-wyborców, którzy jednogłośnie lub w ogromnej większości za jego kandydaturą się oświadczają.

Radłów 22 maja.

W dniu 19 b. m. po uroczystości odebrania fundamentów pod nowy budujący się kościół w Zdrohcu, urządził zgromadzenie wyborców kandydat na posła do Rady państwa z tutejszego okręgu Dr. Antoni Matakiewicz, naczelnik sądu z Tuchowa, w sali szkolnej w Zdrohcu przy licznym udziale mieszkańców gmin Zdrohec, Marcinkowice i Przybysławice. Zgromadzenie zagaił podniosłem przemówieniem ks. Jan Suwada, katecheta z Radłowa, zajmujący się gorliwie sprawą budowy kościoła w Zdrohcu i cieszący się sympatyą ludności. Wybrano przez aklamacyę przewodniczącym ks. Suwadę, zastępcami naczelnika gminy Zdrohec Ludwika Kalitę i naczelnika gminy Przybysławice, Jana Nawrota, sekretarzem kierownika szkoły w Przybysławicach Jana Materę, poczem Dr. Matakiewicz w przystępnem przemówieniu, przedstawił potrzeby ludności włościańskiej, w szczególności na polu oświatowem, ekonomicznem, podatkowem, sądownictwa, i wyjaśnił w jaki sposób w razie wybrania go posłem, będzie się starał działać dla dobra ludu. Zgromadzeni wysłuchali przemówienia tego i odpowiedzi kandydata na kilka interpelacyi uważnie i przychylnie.

Kierownik szkoły w Zdrohcu, Maślanka, podziękował Dr. Matakiewiczowi imieniem mieszkańców Zdrohca za jego życzliwość dla pogorzelców Zdrohca i budowy kościoła i obietnicą popierania tych spraw, wniósł powtórzony gromko przez zebranych okrzyk »niech żyje«.

Tarnów, 26 maja.

Dnia 25 b. m. odbył się wiec przedwyborczy w Woli rzędzińskiej, staraniem »Okręgowego Komitetu wyborczego« z Tarnowa. Zgromadzenie zagaił prezes Komitetu prof. L. Młynek, przewodniczył zaś ks. Józef Stabrawa, miejscowy proboszcz. Wobec licznie zgromadzonych wygłosił swą mowę Dr. Antoni Matakiewicz, naczelnik sądu w Tuchowie, kandydat na posła do Rady państwa. Przemówienie jego serdeczne i tchnące życzliwością dla ludu i wszystkich stanów, wywołało wśród zebranych ogólne zadowolenie i uznanie. Również bardzo gorąco przemawiał prof. L. Młynek, człowiek cieszący się niezwykłą popularnością wśród ludu.

Wielki niesmak wywołało przemówienie Włodka, niedoszłego prawnika, który gwałtownie napadł na prof. Młynka, jak również i na posła Stapińskiego, mimo, iż ci ostatni wychowali go prawie w swym domu. To też ciętą otrzymał odprawę od Dra Matakiewicza, który wytknął mu jego niewdzięczność i nietakt, napadając na osoby starsze wiekiem i powszechnie szanowane. Zawstydzony niedorostek, wśród wielkiego oburzenia zgromadzonych ulotnił się ze sali.

Drugim takim okazem szczerych przyjaciół p. Witosa był Franciszek Schab z Rzędzina, który napadł na Ks. Stabrawę, zarzucając mu, iż się miesza do polityki i t. p. Na mowę p. Schaba zgromadzeni odpowiedzieli okrzykami »hańba!« »precz stąd!«

Bardzo jędrnie i rozumnie przemawiał p. Franciszek Starostka z Rzędzina, skarżąc się na posłów ludowych, którzy przed wyborami zowią wszystkich swymi »braćmi«, a po wyborach zamykają swym »kochanym braciom« drzwi przed nosem, skoro przyjdą do nich z prośbą o poparcie.

Tegoż samego dnia odbyło się zgromadzenie w Lisiogórze, gdzie przemawiali dwaj kandydaci na posłów do parlamentu: Dr Matakiewicz i Witos. Pierwszy, mimo ostrych zaczepek ze strony Witosa, z godnością i werwą przemówił do zgromadzonych, jednając sobie wszystkich taktownem obejściem, sympatyczną swą postacią, szczerością i życzliwością dla ludu.

Na zaczepki Witosa i jego dwóch zwolenników odpowiedział Dr Matakiewicz i prof. Młynek z taką ciętóścią, że p. Witos, tłumacząc się brakiem czasu, pospiesznie się z sali wyniósł, przed ukończeniem zebrania.

Obydwa powyższe zgromadzenia zaliczyć trzeba do licznych zwycięztw, jakie na każdym kroku odnosi nad swymi przeciwnikami Dr A. Matakiewicz. Nic dziwnego, że w obozie Witoszczyków zapanowało zamięszanie i obawa, że Dr Matakiewicz przejdzie na posła większością głosów.

Podobne zgromadzenia na korzyść Dra Matakiewicza odbyły się w Jurkowie i Łukowy.

Z okręgu Nr. 48.

W naszym okręgu Nowy Sącz, Grybów kandydatów zacietrzewienie, zwłaszcza zaś kandydatów z Sandeckiego. Jest samych chłopów kandydatów pono 30-tu! Nie dziw, że taka moc kandydatów wywołuje wielkie zamieszanie wśród wyborców, i kto wie, co z tego w końcu wyniknie. Ot, nasza niezgoda i wysuwanie się w górę powołanych i niepowołanych! Dotąd odbyło się kilka mniejszych i większych zgromadzeń wyborczych. W Mytkowie urządził zgromadzenie b. poseł Jan Potoczek, który ogłasza, że do żadnego stronnictwa nie należy. W Nowym Sączu wszechpolacy z p. Grabskim ze Lwowa siarczyście wiecowali; w Zborowicach obradowali ludowcy, a także w Grybowie, Nowym Sączu i innych miejscowościach. Rusini, których w okręgu jest 5000 głów i głosy ich mają duże znaczenie, także wiecowali. Ale i oni zmądrzeli i inaczej pono myślą głosować jak przed 4 laty; za Rusinem ks. Hnatyszakiem nieoświadczyli się jednomyślnie, choć to »ich kandydat«, lecz większość była za Polakiem p. Ołpińskim. Rozumieją, że Koło polskie więcej zrobi w Wiedniu, niż Rusini, którzy pono hece w parlamencie wyprawiają, śpiewają i tylko na Polaków wygadują, ale nic naprawdę dla swoich nie działają. Wogóle i Polacy włościanie otrząsnęli się z przykazania »chłopi wybierajcie chłopa«, bo rozumią, że tylko mądrego, uczonego i bardzo zacnego chłopa wybierać można, coby tam nie tylko 20 kor. dziennie brał i ślepo jak baran dał się przywódcom prowadzić, lecz sam rzucił jaką mądrą myśl, jaki wniosek dla dobra ludu, i umiał się postarać, aby wniosek ten stał się ciałem.

Jan S. z pod Grybowa.